Nr 18
10. XI. 1946 r.

TYDZIEŃ

Cena 12 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



W DZISIEJSZYM NUMERZE PISZĄ: JAN BRZECHWA • JAN NEPOMUCEN MILLER • KAZIMIERZ POLLACK • ADAM RAPACKI • JERZY WYSZOMIRSKI

ODWIECZNE POMRUKI MOLOCHA WOJNY

Coraz częściej powtarzają się na łamach prasy głosy o odradzaniu się Niemiec po klęsce. Czyżby więc klęska była pozorna? Czy i w jakiej mierze odradza się gospodarczy aparat niemiecki, który był arsenałem zbrodni?

Udało się nam zgromadzić **szereg rewelacyjnych materiałów**, dotyczących losów i obecnej działalności rekinów niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, stanowiących — śmiało rzec można — techniczny sztab niemieckiej zbrodni. Trzeba jednak nawiązać do niedalekiej przeszłości, żeby ocenić wagę i znaczenie tych wiadomości.

A więc rok 1919. Największe zakłady zbrojeniowe Niemiec: fabryki Kruppa ulegają w myśl postanowień traktatu wersalskiego zniszczeniu. Na żądanie Alianckiej Komisji Kontrolnej pada w gruzy 379 kranów i wielkich pieców, 9300 maszyn, 120 tysięcy metrów sześciennych betonowych budowli, ponad 800 tysięcy instrumentów i urządzeń. Zdawałoby się — klęska. A jednak.

Niedługo potem **Krupp otrzymuje pożyczkę w Holandii**. Odbudowuje fabryki. Teraz ma nowe, stanowiące ostatni wyraz techniki. Wprawdzie nie są to zakłady zbrojeniowe — produkcja ich ma pokojowe przeznaczenie. Lokomotywy, traktory, wagony, auta, nawet koronki do zębów, są przedmiotem powojennej produkcji. A cóż się dzieje ze sztabem specjalistów narzędzi wojny? Czyżby przerzucili się na technikę dentystyczną?

Spiritus flat ubi vult — mówiono dawniej o lotności i przenikalności ducha. Dziś można stwierdzić, że **rekordy ducha bije lotność międzynarodowego kapitału.** Przesiąka on mimo granic, traktatów, barier dewizowych, jest równie niewidzialny, umie się „materializować" pod najbardziej nieoczekiwanymi postaciami.

Już w czasie pierwszej wojny europejskiej miał Krupp w Holandii swą agenturę w postaci pseudo-holenderskiej firmy „Blessind and Co". Po wojnie szyld się zmienił: na miejsce „Blessind and Co" zjawia się „Holandische Industrie en Handel Maatschappij" (Siderius A. G.). Ta ostatnia firma powiązana jest tajnymi nićmi z innymi wielkimi zakładami przemysłu wojennego ,jak „Piet Smit Junior", „Ingenieurkantoot voor Schepsbov" i innymi. Oficjalnie na czele koncernu „Siderius" stoi Holender, faktycznie za nim — Niemiec Buschfeld. Mimo wszelkiej ostrożności sprawa stała się znana wywiadowi francuskiemu. Notą dyplomatyczną w 1926 roku rząd francuski zwraca się do holenderskiego o wyjaśnienia, czemu toleruje interesy Kruppa pod maską firm holenderskich. Rząd Holandii odpowiada wymijająco, nie może się wtrącać w sferę prywatnych interesów.

Nie na Holandii koniec. Znany jest powszechnie szwedzki koncern armatni „Bofors". Do 1925 r. Krupp miał już około trzeciej części akcji tego przedsiębiorstwa. Nabył je za sprzedane „Boforsowi" swoje patenty. Gdy udziały Kruppa stały się przedmiotem skandalu prasowego, Krupp się wycofał. Natomiast **dziwnym zbiegiem okoliczności w ślad za tym powstało towarzystwo holdingowe**, zjednoczenie akcjonariuszów „Boforsa". Jeden z dyrektorów towarzystwa zastawił „Kruppowi" swe akcje na zabezpieczenie długu. I dług i akcje opiewały na sumę 6,3 milionów koron. Drugi dyrektor swój pakiet akcji zastawił w banku „Skandinavska Banken"... również na zabezpieczenie długu u Kruppa. W ten sposób Krupp w 1929 roku był dysponentem większego pakietu akcji niż miał w 1925 r. A co najważniejsze, sztab techników produkcji wojennej Kruppa, choć nie w Niemczech, pracował nadal i nie zostawał w tyle za techniką aliancką.

Zeiss — to nie tylko świetne aparaty fotograficzne i lornetki dla teatru czy wyścigów. **Precyzja aparatów Zeissa to również precyzja niemieckiej artylerii,** lotnictwa bombowego, celność torped mierzonych w alianckie statki. Toteż Komisja Aliancka starannie kontrolowała likwidację wojennych aparatów optycznych w zakładach Zeissa w Jenie. Tymczasem Zeiss zakładał w Holandii „N. V. Nederlandsche Instrumenten Compagnie". Dzięki finansowej pomocy amerykańskiej firmy „Bausch and Lamb", z którą Zeiss miał umowę patentową, udało mu się nie tylko utrzymać, lecz nawet rozwinąć zakres swej produkcji optyki wojennej. Ponadto Zeiss za pośrednictwem firmy amerykańskiej miał **monopol na dostawy precyzyjnej optyki wojennej na cały świat.** Gdy w przededniu wojny Zeiss bez żenady rozwinął produkcję wojenną u siebie w Niemczech, zaniepokojona partnerka amerykańska pisała Zeissowi z wyrzutem: „dzięki naszej pomocy utrzymaliście swój sztab naukowy i techniczny w ruchu, gdy nie mogliście produkować w Niemczech". Komisja Senatu Stanów Zjedn. stwierdziła, że Zeiss oszukiwał firmę „Bausch i Lamb", nie ujawniając jej patentów najważniejszych. W reasumcji komisja stwierdza, że tajna umowa Zeissa stała się przyczyną tego, że maszyna wojenna Hitlera doznała wydatnej pomocy.

To są dwa przykłady tylko. Można by ich mnożyć więcej. Wielki **przemysł niemiecki miał pod różnymi postaciami około 750 mutacyj zagranicznych** (Komisja wojskowa Senatu St. Zj. A. P.). W samej Hiszpanii interesy niemieckie szacuje się na 200 mil. dolarów (Komisja tegoż Senatu do badania działalności karteli).

To, co się dzieje w przededniu i w okresie wojny ostatniej, przypomina kombinację maskarady z zabawą w chowanego. Penetrując pod postacią firm handlowych, macki nazistowskie w krajach alianckich lub neutralnych przebierają się ze zręcznością cyrkową z jednego stroju ochronnego w drugi — zawsze neutralny — i zawsze wychodzący obronną ręką z opresji.

W 1935 r. powstaje w Nowym Jorku towarzystwo „Steel Union-Sheet Palling, Inc"; wszystkie akcje do wojny posiadała firma holenderska. Po zajęciu Holandii przez Niemców rząd Stanów Zjedn. nałożył sekwestr na majątek przedsiębiorstw holenderskich, jednak na kilka dni przed ukazaniem się rozporządzenia, „Steel Union" otrzymuje list od szwajcarskiej firmy „Themis Financial Co" z wiadomością, że ona kupiła akcje „Steel Unionu" u firmy holenderskiej. Firma szwajcarska miała za dyrektora tę samą osobistość co holenderska, przy tym Niemca. Nic też dziwnego, że Anglia umieściła „Themis" na czarnej liście firm, służących wrogom. Jednakże na dzień przed publikacją listy „Steel Union" znów „zmieniła skórę", tym razem dzięki depeszy ze Szwecji, że akcje jej kupiła tamtejsza firma „Aktiebolaged Pars". Tak więc Niemcy ze „Steel-Unionu" spokojnie przez całą wojnę robili swą szpiegowską i dywersyjną robotę w kraju przeciwnika. W istocie „Steel Union" była własnością trustu „Vereinigte Stahlwerke".

Koncern „I. G. Farbenindustrie" miał w Stanach „córkę", która zmieniła oczywiście nazwisko, nazywała się „Cheminco Inc.". Formalnie była niezależną, choć **dyrektorami byli bracia i kuzyni ludzi z zarządu „I. G. Farbenindustrie".** Nawet nazwiska te były identyczne Schmintz-Duisberg. Tylko obywatelstwa na wszelki wypadek już amerykańskie. Dopiero w czasie wojny prokuratura amerykańska doszukała się pokrewieństwa między „I. G. F." a „Cheminco Inc", która dobrze się czując w Ameryce, spłodziła następne pokolenie na nowym kontynencie w postaci „I. G. Corporation".

Odkryte przez wojska radzieckie **protokóły „Reichsgruppe Industrie" dają ciekawe oświetlenie działalności karteli** międzynarodowych — już w czasie toczącej się ostatniej wojny światowej.

W grudniu 1939 odbyło się zebranie „Reichsgruppe Industrie" oficjalnego przez rząd niemiecki kontrolowanego zrzeszenia przemysłowców. Zebranie poświęcone było działalności międzynarodowych karteli w czasie wojny.

Z protokołu dowiadujemy się, że w tym czasie kartel pergaminowy przeniósł się wprawdzie z Berlina do Belgii, ale działał dalej, **nadal ustalał światowe ceny, nadal dzielił rynki.** Niemcy na przykład za utratę rynków zamorskich miały być wynagrodzone rynkami Europy wschodniej i południowej. Kartel żeliwny nie wynosi się nawet podówczas z Niemiec, pozostaje w Düsseldorfie. Tylko „dla przyzwoitości" prezydentem kartelu jest Szwajcar.

Inne kartele, które musiały przerwać swą działalność, utrzymują biura informacyjne i studiów nad podziałem rynków po wojnie, nie likwidują się jednak faktycznie.

A teraz...

Trudno w tych sprawach o fakty; śledzenie poczynań kapitału międzynarodowego trudne. Czasem tylko wyłoni się jakiś ostrzejszy kontur, jakiś gest pozwalający wnioskować o całości.

Cóż robią obecnie potentaci niemieckiego przemysłu i finansjery? **Pierwszym krokiem Schachta po wyjściu z norymberskiego więzienia była wizyta** u stuttgarckiego magnata przemysłowego.

Herman Bucher, szef elektrycznego koncernu A. E. G. działa w Hamburgu, dokąd przeniósł zarząd koncernu z Berlina. Nadal popiera hitlerowców. Koncern jego miał zawsze bliskie związki z amerykańską „General Elektric Co".

(Dokończenie na stronie 3-ej)

ROCZNICA REWOLUCJI ROSYJSKIEJ

W dniu 7. b. m. związkowe ludy Republik Radzieckich obchodzą swe wielkie święto-rocznicę zwycięskiej rewolucji.

Odległe wówczas od nas wypadki. przedstawione jedynie w świetle grozy rewolucyjnej, oddzielone kordonem niemieckich wojsk i niechęcią zakorzenionych przesądów, nie wyryły w świadomości polskiego społeczeństwa tych głębokich prawd, które zaważyły później tak silnie na dalszym biegu historii. Nie doceniano też wówczas faktu, że spośród dawnych państw zaborczych, pierwsza Rosja porewolucyjna, nie uznała aktu przemocy rozbiorów i uznała całkowitą niepodległość Polski.

Dopiero wspólne losy dzielone podczas obecnej wojny przekonały, że tuż za naszą wschodnią miedzą powstały nowe wartości, które nie tylko zmieniły wyniki bitew, ale swym ciężarem gatunkowym wywierają ogromny wpływ w układzie światowych sił społecznych.

Narody Rosji Radzieckiej kochają święto swej rewolucji, nie tylko jako symbol wielkiego zrywu uciśnionych mas, ale jako kamień węgielny rzucony pod budowę lepszego jutra.

W dniu święta rewolucji, gdy bohaterska Moskwa rozbłyskuje tysiącami iluminacji, z ust przedstawicieli ludów radzieckich padają słowa, napełniające ludzkość otuchą, utwierdzającą w niej wiarę, że czeka nas długi okres twórczej i pokojowej pracy.

Iluminacja Moskwy w rocznicę rewolucji.



Dokończenie ze strony 2-ej

Również w angielskiej strefie okupacyjnej Niemiec działa Benkert, szef koncernu „Siemens". Benkert — sam aktywny hitlerowiec — był jedną z grubych ryb wojennego przemysłu w czasie wojny.

Julius Pintsch, jedna z większych firm przemysłowych, starała się niedawno fabrykę w „Furstenwalde" w strefie radzieckiej przedstawić **jako własność holenderskiej firmy „Philips"**, i w ten sposób uratować ją od likwidacji. Jak się okazało firma „Pintsch" miała z Philipsem tajną umowę jeszcze z czasów wojny, przewidującą, że na wypadek przegranej Niemiec Philips zostanie podstawiony jako pozorny właściciel fabryk koncernu Pintscha.

Członkiem administracji prowincji reńskiej, zatwierdzonym przez okupacyjne władze angielskie jest bankier Pferdemenges, czynny dawniej hitlerowiec, właściciel domu bankowego, członek władz „Vereinigte Stahlwerke", „A. E. G." i innych. Przewodniczącym Komitetu Ekonomicznego w brytyjskiej strefie jest A. Frohwein, były uczestnik władz koncernu „Bemberg". O Pferdemengesie i Frohweinie wyraził się przedstawiciel Ministerstwa Skarbu Stanów Zjednoczonych Shmidt, że są to czynni współpracownicy hitlerowskiego reżimu.

Tak wyglądają fakty. Przyjrzyjmy się im bez histerii, rzeczowo wyciągnijmy z nich wnioski.

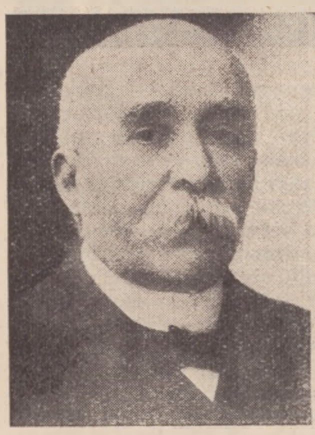
Pierwsze co stwierdzić wypadnie, to fakt, że na razie daje się tylko ustalić personalia. Machinacyj jeszcze nie widać, jeszcze są w ukryciu. Natomiast widać, że **całe towarzystwo wielkoprzemysłowe zbiera się w zachodnich strefach okupacji Niemiec**, i na czele koncernów, które miały związki z międzynarodowym kapitałem i przemysłem, stoją ci sami ludzie. Jeśli nawet najbardziej skompromitowane figury zostały usunięte, to obecni szefowie mają także całkiem wyraźną prohitlerowską i militarystyczną przeszłość.

Wiemy więc już kto tańczy, nie wiemy na pewno jeszcze jaki jest ten taniec, ale wątpliwości co do tego coraz mniej. Zabiegi „Pintscha" z podstawianiem „Philipsa" bardzo przypominają kombinacje Kruppa i Zeissa z holenderskimi i amerykańskimi marionetkami.

Zbliża się proces przemysłowców i bankierów niemieckich. Po hersztach kolej na paserów. Będzie to **drugi z kolei co do wielkości i znaczenia przewód sądowy** przed trybunałem ludzkim o zbrodnie przeciw prawom człowieczeństwa.

ANKAD

NIEDOKOŃCZONA WOJNA





Foch i Clemenceau — wódz i twórca zwycięstwa koalicji; po środku Wilhelm II, inicjator pierwszej agresji niemieckiej.



Historyczny wagon, w którym Niemcy podpisali kapitulację w dn. 11 listopada 1918 r. Na zdjęciu marszałek Foch i generał Weygand

W lesie Compiègne, niedaleko małej stacyjki Rethondes, w salonowym wagonie marszałka Focha, podpisały Niemcy w dniu 11 listopada 1918 r. o ogdz. 5-ej rano warunki zawieszenia broni. Akt ten był zakończeniem pierwszej wielkiej wojny światowej. *)

Osłabiona nieustannym działaniem ofenzywnym (organizowanym przez Ludendorfa) armia niemiecka, nie zdolna już była do stawiania skutecznego oporu, a tembardziej do zadania decydującej klęski aliantom. Mimo, że armia ta nie była jeszcze rozbita i posiadała znaczne zapasy sprzętu wojennego, samo przeświadczenie o bezcelowości walki, wyczerpanie wojenne, sprzeczki między przedstawicielami rządu a naczelnym dowództwem sprawiły, że postanowiono zakończyć krwawą imprezę. Szumnie reklamowana „rewolucja" była jedynie jakby zabiegiem profilaktycznym, mającym na celu ochronę Niemiec przed konsekwencjami kompletnej klęski militarnej. Dowodem tego jest choćby fakt, że myślące ścisłymi kategoriami dowództwo wojsk alianckich liczyło się z klęską Niemiec dopiero późną wiosną 1919 r. Również powszechnie znane było hasło (podchwycone później skwapliwie przez Hitlera), że gdyby w 1918 r. Niemcy posiadały opatrznościowego męża, nie dopuściłyby do kompromitującej kapitalacji, a losy wojny mogłyby przyjąć odmienny obrót. **Jednakże trzeźwe jeszcze wówczas pobismarkowskie Niemcy 1918 r. wolały się raczej skompromitować i przyjąć takie warunki pokoju, które stworzyły szanse szybkiego odrodzenia i rewanżu zbrojnego.** Częściowa przegrana była na rękę nie tylko Niemcom, ale i tym wszystkim zakulisowym potęgom świata, które w pozostawieniu zapalnych ognisk widzą możność równoważenia sprzecznych kierunków, przeciwstawiających się często ich egoistycznym interesom.

Właściwe i ostateczne wnioski z wielkiej wojny światowej wyciągnęła jedynie strona pobita — to jest Niemcy. Zrozumieli oni, jak wiele można zdziałać, idąc po linii polityki odśrodkowej, atakującej i kokietującej naprzemian niezdecydowanych i zawistnych zawsze między sobą partnerów.

* * *

Z datą 11 listopada łączy się 28 rocznica odzyskania niepodległości Polski. W niepodległość naszą nie chcieli Niemcy uwierzyć od pierwszych chwil listopadowej kapitulacji aż do dnia dzisiejszego i dlatego też to podczas całego okresu między dwiema wojnami tak usilnie szerzyli hasła naszej tymczasowości pod nazwą „sezonowego państwa". Bezwzględnie, że z punktu widzenia własnego interesu mieli zupełną rację, bo granica Polski w 1918 r. była wiecznym precedensem do zadrażnień, które musiały się skończyć albo likwidacją Polski, albo całkowitą rewindykacją krzywd i zbrodni dokonanych przez prusactwo na Rzeczypospolitej. Dlatego też data niepodległości Polski będzie związaną z datami klęsk Niemiec i to nietylko w dniu 11 listopada 1918 roku, lecz na przestrzeni dziejów dwóch odwiecznie wrogich sobie narodów.

I. C.

*) O wielkim nasileniu pierwszej wojny światowej świadczy kilka przytoczonych cyfr. Koalicja w ciągu wojny zmobilizowała pod broń ponad 45 milionów żołnierzy, zaś państwa centralne ponad 27 milionów. Wielka Brytania straciła w zabitych na polu walki 870.000 ludzi, Francja — 1,383.000, Włochy — 496.000, Stany Zjednoczone 114.000, Rosja około 3 milionów, Niemcy 1.840.000, Austria około półtora miliona.



Zaciągnięcie pierwszej polskiej warty przed Komendą Placu w Warszawie.

D Y L E M A T

11 listopada 1918 roku, a więc dwadzieścia osiem lat temu, zakończyła się wielka wojna, którą nazywamy pierwszą wojną europejską albo nawet pierwszą wojną światową. Trwała cztery lata. Po jednej stronie walczyły t. zw. państwa centralne — Niemcy i Austro-Węgry wraz z Turcją i Bułgarią, po drugiej — t. zw. Entente t. j. Francja, Anglia i Rosja razem z Serbią, Czarnogórzem, Belgią i Japonią, do których przyłączyły się kolejno Włochy, Portugalia, Rumunia, Stany Zjednoczone, wreszcie Brazylia i Chiny. Wojna toczyła się w Europie, Azji, Afryce, na Atlantyku, na Oceanie Indyjskim i Spokojnym. Państwa centralne zmobilizowały 25 milionów wojska; państwa Ententy i sprzymierzone — 43 miliony. Straty w wojnie wyniosły około 9 milionów zabitych i 21 milionów rannych i okaleczonych. Wiele miast, wsi i osiedli było zburzonych i spalonych. Na świecie, skąpanym we krwi, pozostało wiele wdów i sierot. Szerzyły się choroby, epidemie, nędza. Najszlachetniejsze umysły ludzkości, czujni myśliciele i wrażliwi pisarze, potępili wojnę jako okropne zło i wskazali, że nie powinno być takiego powikłania w stosunkach międzynarodowych, któregoby nie dało się rozwiązać na drodze porozumienia wzajemnego, układów i ugody. Albowiem celem człowieka na ziemi jest życie i miłość, nie mord i nienawiść.

I w dwadzieścia lat po tamtej wojnie, gdy żyło w pełni sił męskich pokolenie, które ją pamiętało i brało w niej udział — wybuchła nowa wojna, nieskończenie od tamtej straszliwsza i okrutniejsza. Nie poskutkowały nawoływania i przestrogi myślicieli, poetów, humanistów i pacyfistów czyli miłośników pokoju i braterstwa ludzi. Poeta i humanista, zastanawiając się nad tym, dlaczego ludzkość wciąż wojuje i wytępia siebie, gotów eschatologicznie uwierzyć, że człowiekowi przyrodzona jest skłonność do mordowania się i niszczycielstwa; że dusza jego jest w swej zbrodniczości niezmienna. Tkwi w człowieku, od chwili gdy się ukazał na świecie, potencjalna energia zła, która się od czasu do czasu musi przeistaczać w energię kinetyczną. Mózg zaś ludzki, doskonaląc się nieustannie, kinetykę tej energii rozwija do granic, nie dających się przewidzieć i określić. Jakaż zachodzi różnica pomiędzy kamieniem, rzuconym ręką jaskiniowca, a bombą atomową? Istota zjawiska jest ta sama: chodzi o uśmiercenie człowieka. Inne jest tylko nasilenie zjawiska, jego gwałtowność, jego wymiary i rezultaty. Gdzież kres tej kinetyki, niosącej zagładę? — gotów filozofować myśliciel i poeta: — Czy nastąpi on dopiero wówczas, gdy — jak prorokuje Mickiewicz — karząc plemię ludzkie, zbrodniami zatrute, Bóg wysadzi tę ziemię? I rozpryśnie się ona na miliony meteorytów, jak atom rozbity, które krążyć będą w przestworzach międzyplanetarnych, i na innej gwieździe pocznie się tworzyć lepsza cywilizacja? Któż to wie? — pomyśli poeta: — zapewne niejedna ludzkość już istniała i zginęła, niejedna cywilizacja. W jakże piękny, choć dreszcz budzący sposób, mówi o tym do Iwana Karamazowa Djabeł u Dostojewskiego: „Ależ mój przyjacielu, cóż to jest wasza ludzkość i wasza ziemia? Przecie to się powtarzało biliony razy. Lodowaciało to, pękało, rozsypywało się, rozkładało na części zasadnicze — i czyniło się, jak mówi wasze Pismo, rozpostarcie między wodą a lądem, a potem znowu jakaś kometa, znowu słońce, znowu narodziny ziemi od słońca — przecie te ewolucje, przyjacielu, te wszystkie wasze palingenezy powtarzają się nieskończoną ilość razy i wciąż w ten sam sposób. Nuda śmiertelna..."

Smutno więc i nudno musi być niekiedy poetom, humanistom i filozofom. Myślą oni, myślą, i właściwie nigdy nic nowego nie wymyślą. Ale i uczeni, posługujący się ścisłymi metodami badania, opierający się na fakcie i doświadczeniu, dochodzą niekiedy do podobnie ponurych wniosków o człowieku i cywilizacji. Przed wojną obecną zaczytywaliśmy się emocjonującą książką Alexis Carrela „Człowiek istota nieznana". Wynikało z niej, inaczej niż z rozumowania Djabła Dostojewskiego, że po człowieku można się spodziewać wielu niezwykłych, mądrych i pożytecznych rzeczy. Ale mało kto czytał książkę amerykańskiego profesora Mac O'Connela, wydaną na krótko przed wojną, wiosną r. 1939, p. t. „Ludzkość nad otchłanią". Była to niejako odpowiedź na książkę Carrela. Otóż, zdaniem Mac O'Connela, człowiek współczesny jest istotą dobrze znaną — mianowicie obłąkańcem skazanym na zagładę. Dawny, klasyczny fizycznie i zrównoważony duchowo typ człowieka — dowodził O'Connel — należy do przeszłości. Znały go wieki starożytne, Grecja, Rzym. Od tamtych czasów typ człowieka zrównoważonego stopniowo, niedostrzegalnie lecz nieuchronnie zanika poprzez średniowieczne i czasy nowożytne. Może nam się wydawać to zanikanie niewiarygodnym, trwa bowiem dwa tysiące lat, ale taka epoka w dziejach ludzkości — to jedna chwilka. Więc człowiek normalny zanika. I lata tamtej wielkiej wojny 1914—1918, okres następujący po niej, kryzys powojenny — zachwiały, wedle O'Connela, ostatecznie psychikę człowieka. 80% ludzi współczesnych cierpi na nieuświadomione zaburzenia psychiczne, i większość konfliktów między ludźmi tutaj ma swoje źródło. Homo sapiens — król stworzenia — schodzi coraz niżej po drabinie cywilizacyjnej, pogrąża się w odmęt szaleństwa, zdąża wyraźnie ku unicestwieniu. Taką tezę postawił O'Connel i rozwinął ją szczegółowo, popierając mnóstwem przykładów ze wszystkich dziedzin naszego życia przedwojennego, nie wyłączając polityki. Jeśli O'Connel jeszcze żyje, wykłada, pracuje naukowo i nadal ogłasza swe książki, ciekawe jest, jakie poczynił spostrzeżenia o ludzkości po wojnie obecnej? Gdy przed wojną widział 80% chorych psychicznie, może dziś naliczył ich 100%? A może uważa, że wojna stała się dla ludzkości czymś w rodzaju gigantycznego zabiegu leczniczego — puszczeniem krwi czy przystawieniem pijawek, — który ją uzdrowił? Bo i tak można się zapatrywać na wojnę. Takiego zdania był inny uczony — prof. R. Wipper, który twierdził, że wojna daje ujście pierwiastkowi heroicznemu natury ludzkiej, wyzwala jego energię i ducha wynalazczości; że potrzebna jest po to, by nie zastygły w człowieku jego siły fizyczne i duchowe, jego muskuły i nerwy; aby ujawniały się jego najbardziej subtelne i ukryte talenty. I twierdzi tak Wipper nie o jakichś tam wojnach zamierzchłych, prowadzonych wytwornie na miecze i szpady, lecz o tamtej wojnie europejskiej, rozprawę bowiem swoją p. t. „Wieczystość wojny" („Wiecznostj wajny") napisał w 1923 r.

Jerzy Wyszomirski.

Jak tracono zbrodniarzy

„Przed Warszawą wkopali w ziemię słup, do którego dwie zbrodniarki na łańcuszkach długo uwiązali — każdą na swoim łańcuszku, nagą, opak ręce związawszy, a wokoło nich nakładłszy drzew wkoło, zapalili.

Piekły się około onego ognia, jak pieczenie — przez cztery godziny zanim pomarły, biegając około słupa, narzekając, kąsając zębami jedna drugą w niesłychanej męce.

„Potem też Jordanowskiego ścięto, piwniczego Jakuba na kościele u Bernardynów dobywano i innych zbrodni potracono...“

Tak brzmiał opis pierwszej wielkiej zbiorowej egzekucji w Warszawie przez kronikarza Wapowskiego opisany w Roku Pańskim 1524, kiedy to 8 sierpnia tego roku — „w poniedziałek po świętym Wawrzyńcu zmarł na swej stolicy w kwiecie wieku książę Stanisław, przedostatni książę mazowiecki, o którego śmierć pomówiono dwie znachorki, piekarkę nieznanego nazwiska z Krakowa i wieśniaczkę podwarszawską Kliszewską oraz najbliższe otoczenie mazowieckiego władcy“.

Niemniej wstrząsające opisy kaźni zanotowano w kronikach Starej Warszawy z czasów panowania Zygmunta III, kiedy to ścięto Nalewajkę, herszta zbuntowanych kozaków i ćwiartowano Piekarskiego co na majestat królewski się porwał, a zamach nań udaremnił Władysław IV, uderzeniem czekana go obezwładniwszy.

Nalewajkę tracono na wygonie miejskim, gdzie kończyła się droga Błońska, później ulicą Długą nazwana przy wjeździe na Nalewki.

Jak kroniki z owego czasu głoszą, Nalewajkę przed śmiercią „na żelaznego rozpalonego do czerwoności byka usadowiono,



„Weź, a nie męcz mnie długo"

żelazną rozżarzoną w ogniu blachą go ukoronowano, po czym dopiero mistrz katowskiego rzemiosła ściął mu głowę“...

Z Piekarskim poczynano sobie w czasie egzekucji niemniej swoiście. „Obwożono go po ulicach Starego Miasta na wielkim wozie, a kat przypalał go raz po raz ogniem siarczystym i kleszczami ciało zeń wyrywał na Piekiełku, które miejscem właściwej kaźni było, palono mu i obcinano kolejno jedną rękę i drugą, wreszcie czterema końmi na cztery części był rozerwany i na cztery części świata rozwleczony. Potem strzępy tego ciała na jedno miejsce zwleczono i po spaleniu ich na stosie, prochami nabito działo przy wieży marszałkowskiej, stojące i ku nurtom Wisły je wystrzelono, aby je wiatr rozwiał i woda pochłonąwszy ku morzu za granice Rzeczypospolitej porwała...“

Wielką serię egzekucji zbrodniarzy stanu przyniosła za przykładem rewolucji francuskiej doba insurekcji kościuszkowskiej, kiedy w momencie zbliżania się Prusaków ku rogatkom Wolskim rzucano hasło „wieszać zdrajców“ i pod naporem opinii publicznej sąd doraźny — jakby dziś powiedziano trybunał nadzwyczajny — na ratuszu zwołano. Przed sąd ten stawiono: hetmana — Ożarowskiego, Zabiełłę-Ankwicza i Kossakowskiego. Przedstawione dowody zdrady były jawne. Trzech obwinionych milczało. Stanęły dekreta „brevi manu“ — odsądzające ich od czci, skazujące na śmierć natychmiastową. Przyszli wezwani na ratusz staromiejski ojcowie kapucyni z ulicy Miodowej. Tłum z trudem się przed nimi rozstąpił i trwał w niecierpliwości aż skazańcy spowiadali się po dwakroć, aby zyskać na czasie w nadziei bodaj cudu jakiegoś, którywby ich ocalił.

Przystąpiono do wykonania odczytanego ludowi wyroku. Siedemdziesięcioletniego przeszło hetmana Ożarowskiego nieprzytomnego z trwogi przynieść musiano na krześle, bo na nogach nie mógł się utrzymać i nawpół żywego obwieszono. Gdy Zabiełłę prowadzono na szubienicę, zaczął się kłaniać wokoło, prosząc o litość... Ale zewsząd wołano:

— Zdrajca milczeć!

Ankwicz, eskortowany przez Kniaziewicza pod szubienicę, rozpatrywał się w tłumach, jakby kogoś szukając, a wszedłszy na drabinę szubieniczną, począł wołać:

— Narodzie szlachetny, nie znajdę u ciebie litości?...

Zagłuszono go:

— „Nie ma litości dla zdrajców!“,

Gdy wrzawa nie cichła, dobył z kieszeni złotej tabakierki, zażył tabaki i nie tracąc pańskiej fantazji oddał tabakierkę katowi ze słowami:

— „Weź, a nie męcz mnie długo“. Sam sobie pętlę na szyję założył i skończył bez słowa.

Biskup Kossakowski — „prałat ogromnej kościstej postaci z lamparcią twarzą i lisim spojrzeniem — jak go charakteryzował Niemcewicz — szedł na śmierć otoczony kapucynami. Lud — stwierdza Kraszewski na podstawie współczesnych relacji — biegł za nim krzycząc, plując, rwąc na nim suknie, tak, że nim doszedł na miejsce, został w jednej koszuli i strzępach kaftana. Prosił, aby mu pozwolono zajść do kościoła bernardynów. Dopuszczono go tylko do drzwi, gdzie biskup Malinowski dopełnił obrzędu zdjęcia święceń kapłańskich. Mówił do tłumów: — „Szukajcie wyżej winnych — idźcie na Zamek — tam król najwinniejszy“... Lecz mówić mu nie dano. Dał się słyszeć wystrzał — obwieszono go.

Po tej pierwszej egzekucji Trybunału insurekcyjnego na miejsce dalszych egzekucji wyznaczono dawny plac straceń na Nalewkach i miejsce „na piaskach“ przy kościele reformatów. Tu m. in. miał ponieść śmierć haniebną—podobnie jak Kossakowski „przez publiczne powieszenie na szubienicy w 24 godziny po zdjęciu sakrów“ — jak to opiewał wyrok sądu kryminalnego, podpisany przez gen. Zajączka i prezydenta miasta Zakrzewskiego, biskup chełmski Skarszewski.

Gdy przed kościołem P. Marii biskup Malinowski dopełniał zdjęcia święceń, Skarszewski, podobnie jak Kossakowski odezwał się przy ścieraniu czoła, które miał namaszczone przy święceniu:

— Nie czoło, Monsieur, trzeba ścierać, a koronę...

Po zdjęciu **„sakrów odczytano wyrok śmierci i odprowadzono do prochowni, ale wyroku później nie wykonano wskutek interwencji nuncjusza papieskiego u Kościuszki.**

Nuncjusz pojechał do Naczelnika „wpadł — mówi Kraszewski — do zajętego pracą w obozowym namiocie wodza, zrobił scenę teatralną, przemawiał długo i patetycznie, prosił, zaklinał, straszył wymownie, gorąco, zręcznie... Kościuszko wahał się długo, posłał po Potockiego i Kołłątaja i po słowach tego ostatniego „Bez mego zdania się obejdzie — ksiądz jestem“. Naczelnik dał słowo, że wyrok złagodzi...“

I skazaniec ocalał! Uszedł w tych czasach haniebnej kary jeszcze jeden „sługa boży“ — zdrajca — brat królewski, prymas Poniatowski. Gdy Prusacy stali pod Warszawą koło Powązek — pochwycono posłańca księcia prymasa z listem do króla pruskiego. Gruchnęła o tym wieść po nękanym bombardowaniem dział pruskich mieście i przed pałacem prymasowskim na ul. Senatorskiej przystąpiono do stawiania szubienicy. Kościuszko udał się na Zamek do Stanisława Augusta, a król — jak mówiono — posłał bratu truciznę, aby go od hańby ocalić.

Po Warszawie poszło wieść o tym i wnet po ulicach rozbrzmiewać zaczęła piosenka:

„Książę prymas, zwąchał linę:
wolał proszek, niż drabinę“.

Trucizna nabyta w aptece Wasilewskiego przy ul. Św. Jańskiej musiała dobrze działać... Wedle krążących wieści, prymas zażył ją w tabace, zdrzemnął się wsparty łokciami na stole i tak życie zakończył.

„Po zgonie miał twarz obrzękłą i zeszpeconą“ — zanotował w swych pamiętnikach Lelewel. Po śmierci złożono prymasa do trumny, osłoniwszy mu twarz „zieloną kitaiką“, którą ciekawi podnosili przy odwiedzaniu zwłok...

A nazajutrz „Gazeta Warszawska“ podawała zdumiewająco lakonicznie:

W nocy z 11 na 12 sierpnia zszedł z tego świata w tej stolicy książę Michał Poniatowski, prymas Korony Polskiej i W. Ks. Litewskiego“... O chorobie ni przyczynie śmierci — ani słowa!

Kazimierz Pollack

MIĘDZYNARODOWY KONGRES SPÓŁDZIELCZY

w Zurichu — Niezrozumienie bez nieporozumienia

(Dokończenie)

Jak każdy szary czytelnik prasy i słuchacz plotek warszawskich — zawsze byłem przekonany, że wszelkie współczesne obrady międzynarodowe składają się z oficjalnych bankietów — i nieporozumień. Myliłem się. Na Kongresie Międzynarodowego Zw. Spółdzielczego—jakby nie było dosyć reprezentatywnej organizacji 100 milionów najbardziej czynnych społecznie „szarych ludzi“ pod tęczowymi sztandarami — nie było ani jednego nieporozumienia o politycznym smaczku. Było za to niewątpliwie jedno wielkie niezrozumienie.

Długo starałem się zdać sobie sprawę: między kim i kim niezrozumienie; gdzie granica podziału. Otóż nie między anglosasami i słowianami. Napewno nie o to chodziło. Między bogatymi a biednymi? Zapewne, ale tylko w niektórych sprawach. Główna granica podziału jednak — biegła wzdłuż najdalszej granicy okupacji niemieckiej. Kraje i ludzie dzielili się na tych, którzy znają Niemców z bliska i tych, którzy o nich tylko czytali. Ci, którzy widzieli Niemców u siebie — patrzą na świat poważnie, świadomi wielkich zadań odbudowy, przebudowy społecznej i zapewnienia raz na zawsze bezpieczeństwa i pokoju. Są to ludzie, którzy widzą świat inaczej, bezpowrotnie inaczej, niż przed dziesięciu laty. Ci, którzy o Niemcach tylko czytali — wyszli z wojny jak z kina— po bardzo smutnym i tragicznym filmie— a teraz spokojnie wracają do domu i do codziennej pracy. Zobaczyli, przeżyli odpowiednią porcję dreszczy — a teraz do starej roboty—po staremu. Spółdzielczość—zdwałoby się — bardzo specjalny temat. Spółdzielczość jest zjawiskiem masowym i zjawiskiem gospodarczym. Jest podwójnie związana z rzeczywistością społeczną i musi być jej odbiciem. Widzieliśmy to wyraźnie w zwierciadle kongresu.

W krajach odbudowy i przebudowy społecznej — spółdzielczość jest żywa i dynamiczna. Odnajduje nowe, olbrzymie zadania. Nie jest już ruchem wydziedziczonych, staje się narzędziem kształtowania życia w ręku panów gospodarki — pracujących. Staje się ważnym czynnikiem nowego ustroju gospodarczego. Nie liczy obrotów — rozwiązuje zagadnienia. Nie marzy — tworzy i tworzy na wielką skalę. W krajach powrotu do przedwojennej sielanki spółdzielczość powtarza stare hasła — w które co gorsza, nikt już nie wierzy. Bo i, coprawda, jak wierzyć. Kiedy posiwiały Anglik, kiedy wypada uderzyć w ton górny — mówi o „rzeczypospolitej spółdzielczej“, kiedy potrąca struny starej teorii, że to spółdzielczość sama, spółdzielczość wszystko zmieni, byle jej pozwolić działać“ (laisser faire“) — to nie tylko my wiemy, że to jest ślepy tor. On sam wie dobrze, że spółdzielczość angielska działa swobodnie od stu lat, że już niedługo nie starczy obywateli królestwa na członków spółdzielni, że ma wspaniałych fachowców, idealną organizację i milionowe kapitały... z którymi nie wie, co robić, a przecież... a przecież dobrze jeśli skupiła w swych rękach 20% obrotu handlowego na wyspie. Tyle wie posiwiały spółdzielca angielski i nie wie najważniejszego — co dalej? Toteż coraz oszczędniej używa wielkich słów, coraz chętniej mówi o technice i handlu, coraz rzadziej o przebudowie społecznej.

My wiemy, że spółdzielczość nie da się oderwać od losu społecznego całego świata pracy. Od jego ruchu politycznego i kulturalnego. Że spółdzielczość nie jest jedyną i samodzielną drogą do nowego ustroju — jest jedną z wielu, — a iść trzeba wszystkimi jednocześnie. Wielka i jedyna szansa ruchu spółdzielczego — to współbudowa nowego ustroju wraz z państwem ludowym, z ruchem politycznym, zawodowym i kulturalnym pracujących. Inaczej nie ma w ogóle przebudowy społecznej i nie ma wielkiej szansy dla spółdzielczości. Oni tego nie widzą i nie widzą szansy. Dla tego tracą wiarę.

Ze smutkiem patrzałem na siwe od zasłużonych głów ławy spółdzielczości brytyjskiej — tego wspaniałego ruchu, który traci wiarę i nadzieję i widzi przed sobą coraz wyłączniej... folio rachunku strat i zysków. Nie rozumieliśmy się. Kiedy omawiano stosunek spółdzielczości do państwa (nazywało się to bardzo charakterystycznie „do władz publicznych“... wszystko jedno jakich) nie usłyszeliśmy od zachodu ani jednej nowej koncepcji, ani jednego postulatu, któryby u nas nie był zrealizowany jeszcze przed wojną. Załosne resztki wielkich młodzieńczych snów o potędze. A kiedy mówiliśmy po kolei my — Polacy, Czesi, Jugosłowianie, ba — Francuzi, nawet Włosi, nie to, żeby nas słuchano z niedowierzaniem, z nieufnością. Po prostu — nie słuchano nas wcale. Tak jak my z trudem mogliśmy zmusić się do słuchania po raz setny pouczeń o dobrodziejstwach wolnego handlu i innych zdobyczach XIX wieku. Dwa światy. Nie wrogie — tylko inne. Inne życie, inne zadania, inne horyzonty. Nie chcemy bloków — wschodu i zachodu. Chcemy obalić mur obcości, bo wiemy, że dopiero wtedy można mówić o solidarności międzynarodowej i współpracy. Możemy bardzo dużo nauczyć się od naszych starszych kolegów z zachodu — doświadczenia mianowicie. A i oni od nas — młodości. I dlatego, przygnębiony obrazem obcości — szukałem czegoś, kogoś, ktoby stanął między nami. Znalazłem. Przede wszystkim byli to dwaj ludzie nauki. Dwaj spółdzielcy z przekonania — nowocześni teoretycy spółdzielczości (ale obaj nie z zawodu spółdzielcy). Obaj patrzyli na spółdzielczość z Międzynarodowego Biura Pracy — a więc z punktu obserwacji całości stosunków pracy i z dystansu nauki. Byli to dr. Fauquet i dyr. Colombain. Obaj znają Polskę. Dyr. Colombain był u nas rok temu i wyjechał pod dużym wrażeniem rozmachu ruchu spółdz. w Polsce. Pamiętam jego pożegnalne słowa: „widziałem narodziny giganta“. Zaprosili mnie na obiad i pytali przez trzy godziny. Dyskutowali, klasyfikowali — rozumieli. To było jedno ogniwo łączące.



Ratusz w Zurychu.

Drugie: karta niemal symboliczna. Po moim przemówieniu o roli spółdzielczości i państwa w przebudowie społecznej w Polsce — dwóch młodych Anglików (rzadkość na tych posiwiałych ławach) nadesłało mi parę słów: „bardzo prosimy o odpis Pańskiego przemówienia. To jest zupełnie nowe i ciekawe, co Pan mówił. Bardzo chcielibyśmy zrozumieć — niestety nasi starsi koledzy dokoła są tak dobrymi gawędziarzami, że usłyszeliśmy zaledwie piąte przez dziesiąte“...

Chętnie będziemy rozmawiać, młodzi przyjaciele. Wierzę, że się zrozumiemy i nasze rozmowy nie będą tylko... gawędami dla zabicia czasu i zagłuszenia rzeczy nowych i nie tylko ciekawych, ale i ważnych.

Adam Rapacki

ZŁOTO POLSKIE POWRACA Z »EMIGRACJI«

Po wybuchu wojny w 1939 roku dyrekcja Banku Polskiego wyjechała z Warszawy dnia 5 września wraz z personelem urzędniczym, ratując złoto i inne wartości Banku. W dniu 17 września władze Banku kilkudziesięcioma samochodami, zawierającymi wartości i dokumenty, przekroczyły granicę polsko-rumuńską. Transport ze złotem został przez Constanzę skierowany do Francji, dokąd po pewnym czasie udały się władze wraz z resztą personelu.

W związku z dalszym rozwojem wypadków władze Banku opuściły Paryż w dniu 11 czerwca 1940 roku, ewakuując się z całym gronem pracowników do Anglii. Natychmiast po przybyciu tam, Bank zorganizował swe biuro w Londynie, uzyskując pomoc ze strony „Bank of England". Złoto Banku, przechowywane we Francji, miało być wywiezione do Stanów Zjednoczonych A.P. w początkach czerwca 1940 roku. W drodze jednak okręt wojenny francuski, wiozący złoto, zawrócony został przez władze francuskie do Dakaru, gdzie kruszec wyładowano. Pomimo silnego nacisku Niemiec podbita Francja nie wydała im złota polskiego, i zostało ono odzyskane przez Bank Polski w całości po objęciu zarządu Afryki Zachodniej przez Komitet Narodowy Francuski.

Wartość złota Banku Polskiego wynosi w złotych polskich przedwojennych 380,7 milionów złotych, co w przeliczeniu na funty szterlingi według kursu z 1939 roku, równa się około 15 milionom funtów. Z tej sumy około 7 milionów funtów znajduje się w Wielkiej Brytanii. Reszta jest zdeponowana w „Federal Reserve Bank of New York" i w „Bank of Canada" w Ottawie.

Prócz złota Bank wywiózł za granicę około 1,5 miliarda zł. w banknotach i w bilonie. Banknoty spalono komisyjnie w Rumunii i we Francji. Suma emisji biletów w Polsce wynosiła we wrześniu 1939 r. około 3,5 miliarda zł.

W 1940 r. Bank Polski zamówił w Anglii nową serię banknotów na sumę 6,5 miliarda zł., które obecnie znajdują się w Anglii.

Po długotrwałych rokowaniach, w dniu 24 czerwca 1946 roku została podpisana umowa finansowa polsko-brytyjska. W imieniu Polski podpis swój złożył prezes Narodowego Banku Polskiego ob. Edward Drożniak. Z rezerwy złota polskiego w Wielkiej Brytanii wartości 7 milionów funtów szterlingów, 3 miliony funtów pójdzie na spłatę polskich długów wojennych, reszta t.j. 4 mil. funtów ma wrócić do kraju, lecz jak wiemy, szczegóły przewiezienia są jeszcze w stadium mediacji



Ottawa — stolica Kanady.

Złoto zaś umieszczone w „Bank of Canada" w Ottawie jest już, jak czytaliśmy w ostatnich depeszach, przekazane do dyspozycji Narodowego Banku Polskiego. Suma ogólna złota umieszczonego w Kanadzie wynosi 70 milionów zł. w złocie.

Długi zaciągnięte na wydatki cywilne przez były rząd polski emigracyjny w Londynie, zredukowano z 32 mil. funtów do 10 mil. funtów, i sumę tę musimy zwrócić Wielkiej Brytanii w ciągu 15 lat, przy czym pierwsza rata ma być płatna za lat pięć.

Powrót pierwszej partii polskiego złota stanie się dużą pomocą przy odbudowie naszego gospodarstwa narodowego. Polskie złoto wraz z kredytem kruszcowym, przyznanym nam przez Z.S.R.R., stanowić będzie podstawę dalszego rozwoju stosunków handlowych z zagranicą, dotychczas opartych głównie na umowach kompensacyjnych.

Polska, choć podążająca między 1918 a 1939 r. w ślad kapitalistycznych państw zachodnich, oficjalnie nie przystąpiła do bloku złotego. Niemniej od 1924 roku obowiązywała u nas waluta dewizowo-złota, przy której obieg banknotów był pokryty w 40% złotem lub pierwszorzędnymi dewizami, natychmiast wymienialnymi na złoto. W 1935 roku odpływ złota z kraju zmusił polskie czynniki finansowe do wprowadzenia ograniczeń dewizowych, za pomocą których ściśle reglamentowano przydział dewiz za towary importowane do Polski.

Obecnie złoto spełniać będzie w Polsce właściwą rolę. Służyć będzie do regulowania różnic powstałych z obrotów zagranicznych, względnie jako środek płatniczy przy zakupie towarów, nie dających się nabyć w drodze wymiany towaru za towar. Złoto jest niczym innym jak formą skapitalizowanej produkcji, wytworzonej rękami robotnika, a więc pośrednio formą skapitalizowanej pracy, i jako takie pełnić może pożytecznie swą rolę. **Janusz Jeżewski**

MY SAMI W NOWEJ GOSPODARCE

VII. ORGANIZATOR, REGULATOR, WYCHOWAWCA.

DEMOKRATYCZNA GOSPODARKA MIESZANA.

Budujemy nowy, polski typ ustroju gospodarczego — demokratyczną gospodarkę mieszaną.

Demokratyczna...

Demokratyczna, to znaczy rządzona przez lud, służąca dążeniom i potrzebom ludu.

Jak to powiedzieć w języku ekonomicznym? W gospodarowaniu biorą udział trzy czynniki: ziemia, kapitał i praca. Każdy ustrój społeczno-gospodarczy jest, gospodarczo mówiąc, ustrojem pierwszeństwa któregoś z tych czynników: ziemi (np. ustroje feodalne), kapitału (np. ustroje kapitalistyczne), pracy (ustroje socjalistyczne). Każdy ustrój jest, społecznie mówiąc, ustrojem pierwszeństwa klas, które wnoszą do gospodarstwa któryś z trzech czynników. Ustrój pierwszeństwa właścicieli ziemi, ustrój pierwszeństwa kapitalistów, ustrój pierwszeństwa ludu pracującego.

Ustroje ludowe, demokratyczne — są ustrojami pierwszeństwa pracy.

Pierwszeństwo pracy.

W jaki sposób w gospodarce polskiej praca ma być pierwsza, lud ma rządzić? Po pierwsze — jako całość, przez oddanie ludowi steru gospodarki narodowej. To znaczy państwo ludowe, to znaczy kluczowe gałęzie w jego ręku. Podkreślam — państwo **ludowe.** My, młodsi, niemal od dziecka słyszymy: „wpływ państwa na przemysł", „gospodarka planowa". Kiedy zbyt wielu i zbyt różnych godzi się na jedno — ostrożnie. Albo nieporozumienie, albo nic ważnego. Gospodarka planowa, wpływ państwa na ciężki przemysł — to sprawa techniki tylko. Jedynej możliwej techniki w gospodarce nowoczesnej — wszystko jedno: faszystowskiej, hitlerowskiej, czy socjalistycznej. To znaczy, że się ma panować nad gospodarką, jeśli się chce zdobyć jakiekolwiek cele. Ważniejsze od bezspornego, „że się ma panować" jest **kto** ma panować i **jakie cele** ma zdobywać. I tu jest główna różnica między gospodarkami faszystowskimi i socjalistycznymi. Dlatego powiadamy: po pierwsze — państwo ludowe.

Po drugie — wewnątrz gospodarki przewaga przedsiębiorstw pierwszeństwa pracy. A więc, przedsiębiorstw zbiorowych — spółdzielnie, samorząd. Ale także i indywidualne gospodarstwa, w których praca jest organicznie pierwsza. Gospodarstwa chłopskie, warsztaty rzemieślnicze. Będę jedne i drugie nazywał krótko „warsztatami'. W warsztatach właścicielem jest pracujący. Praca jest jego głównym wkładem i głównym źródłem dochodu. Ziemia — to tylko warsztat, na którym pracuje; kapitał — to tylko narzędzia pracy. Odbierzmy mu ziemię, kapitał, pozwólmy tylko pracować — będzie żył, choć trudniej i nie na swoim. Odetnijmy mu ręce — nie wyżyje z „renty" od 5 ha ziemi, i z procentów od „kapitału" zainwestowanego w narzędzia.

A więc: państwo ludowe, społeczne przedsiębiorstwa pracujących i warsztaty — to jest aparat pierwszeństwa pracy w nowej gospodarce Polski — gwarancja demokracji.

Mieszana...

Państwo, spółdzielczość i samorząd, warsztaty indywidualne... A więc gospodarka mieszana. Jeszcze bardziej mieszana nawet — bo oto, obok przedsiębiorstw pierwszeństwa pracy widzimy i to bardzo licznie w handlu, drobnym i średnim przemyśle — typowe przedsiębiorstwa kapitalistyczne. Jeszcze jeden odcinek — t. zw. „inicjatywa prywatna". I one mają żyć w nowym ustroju i one mają służyć potrzebom i dążeniom pracujących — według jednolitego planu ogólnego.

Planowa...

Bo nowa gospodarka Polski — jak każda nowa gospodarka — będzie planowa. O ile nie w tym sensie, że będzie ścisły plan liczbowy dla każdego przedsiębiorstwa, to w każdym razie w tym — że będzie plan ogólny oparty przede wszystkim na ścisłym planie zasadniczego odcinka państwowego, i według tego planu będą musiały przebiegać wszystkie ważne zjawiska gospodarcze.

Zagadnienia

Ustrój — to jest ustrój, nie jak kto chce. Cała gospodarka musi być powiązana, musi pracować harmonijnie i razem. Dlatego wśród tysiąca zagadnień i trudności uruchomienia naszego, bardzo nowego ustroju — pierwszą troską są zagadnienia koordynacji i zespolenia.

Jak pogodzić jeden plan — z wielością gospodarstw i gospodarzy. A przede wszystkim — jak ująć w jakąś całość miliony warsztatów?

Jak podporządkować demokratycznym celom ustroju — niedemokratyczną często antyludową inicjatywę kapitalistyczną.

Wreszcie największy kłopot, nie tylko gospodarczy, każdej rewolucji — jak pogodzić dawnego człowieka z nowym ustrojem.

Między planem i wielością — organizator.

Sprawa organizacji mnogich, rozproszonych i indywidualnych gospodarstw rolnych i warsztatów rzemieślniczych — nie jest nowa. I nie nowe jest rozwiązanie: tam gdzie warsztaty przede wszystkim rolne, ale i rzemieślnicze, chcą żyć w ramach nowoczesnej gospodarki — nie ma dla nich innego wyjścia — jak spółdzielczość. I tam wszędzie, gdzie państwo chce jakkolwiek ująć w całość i poddać planowi produkcję milionów gospodarstw chłopskich — nie ma innego wyjścia — jak spółdzielczość. Pierwsza rola spółdzielczości w demokratycznej gospodarce mieszanej i rozwiązanie pierwszego zagadnienia — spółdzielczość jest organizatorem warsztatów.

Między demokracją i kapitalistyczną inicjatywą — regulator.

Inicjatywa kapitalistyczna w Polsce rozwija się na niższych piętrach gospodarki. Nie są to dziedziny kluczowe, któreby decydowały o kierunku całego gospodarstwa narodowego. Ale od tego jak pracuje, ile kosztuje jej praca, zależy wiele w codziennych warunkach życia człowieka pracy.

Kto podporządkowuje inicjatywę prywatną jego potrzebom? Po pierwsze państwo ludowe, przez swój zasadniczy wpływ na warunki gospodarowania wszędzie. Ale to nie wystarczy. Nie dość określić przedsiębiorstwom prywatnym ceny zakupu, kredyty, taryfy kolejowe. Trzeba kontrolować dalej. Trzeba kontrolować to, co się dzieje wewnątrz przedsiębiorstwa, jego koszty własne, jego zyski. Nie tylko po ile kupuje, ale po ile sprzedaje. To jest ważne dla człowieka z miejskiej i wiejskiej ulicy. A tu nie pomoże ani komisja cennikowa, ani milicja, ani urzędy skarbowe. Musi ktoś w interesie społecznym, metodami gospodarczymi zmusić przedsiębiorstwo do działania zgodnego z interesem pracujących. Metodami gospodarczymi, to znaczy przede wszystkim konkurencją.

Przedsiębiorstwa spółdzielcze, prowadzone przez samych pracujących ,dla ich własnych potrzeb są konkurencją przedsiębiorstw prywatnych. Nie pierwszą lepszą — społecznie skuteczną konkurencją. Skuteczną ,bo nieprzekupną zyskiem ze zmowy monopolistycznej, narodzoną bez skazy pożądania zysku monopolicznego, którą pierworodnie obciążone jest przedsiębiorstwo kapitalistyczne. Jeżeli ich własne przedsiebiorstwo służy dobrze pracującym — konkurencją zmusza do dobrej służby przedsiębiorstwa prywatne. Usuwa nieudolnych. Usuwa żądnych spekulacyjnych zysków. Zostawia tych, którzy na równi z własnymi przdsiębiorstwami pracujących — mogą i chcą pracującym służyć. To jest druga rola spółdzielczości i rozwiązanie do reszty drugiego zagadnienia: **spółdzielczość jest regulatorem inicjatywy prywatnej.**

Między przeszłością i przyszłością — wychowanie

Rewolucja — to są takie gwałtowne zmiany rzeczywistości społecznej że świadomość większości nie może za nimi nadążyć. W takiej chwili jesteśmy. I ponad budową nowego ustroju, ponad kłopotami o formy — wykwita zagadnienie — kiedy i jak lud pracujący stanie się gospodarzem nowego gospodarstwa. Wychowanie nowego gospodarza to nie tylko wychowanie gospodarcze. Wiemy o tym i rozumiemy zadanie ludowego ruchu kulturalnego. Ale to w ważnej części — wychowanie gospodarcze. Nie tylko katechizm, ale życie wychowuje człowieka. Życie — to walka, praca, odpowiedzialność. Walka, praca, odpowiedzialność w gospodarce to wszystko dawało i daje pracującym ich spółdzielczość. Przedsiębiorstwa, których gospodarzami są miliony pracujących uczą gospodarować miliony. I uczą służyć ich celom setki tysięcy pracowników.

Spółdzielczość jest szkołą nowych gospodarzy i to szkołą najbardziej masową. Uczy od początku, od urządzania małych spraw codziennych w małej spółdzielni — aż do rozwiązania wielkich zagadnień w skali państwowej — w związkach spółdzielni. Właśnie dlatego, że od początku, że masowo, że na tle rzeczywistości i przy warsztacie pracy — **spółdzielczość jest wychowawcą pracujących** — do roli, która im przypada w gospodarce — do roli gospodarzy.

Między zbiorowością i człowiekiem — Dobrowolne uspołecznienie

Rewolucja polska jest dziwną rewolucją. Jest jakby rewolucyjnym skrótem na przełaj. Dróg ewolucji — od tezy — przez antytezę do syntezy. Przez to jest bardzo życiowa ,ale jako okaz rewolucyjnej — krańcowej rasy — bardzo oryginalna. Jest to rewolucja między biegunami. Konsekwencje rewolucyjne — bez przewrotu. Uspołecznienie — bez kolektywizmu. Plan — bez ostrej dyscypliny jednostki. Ale bieguny nie przestają być biegunami. Jeżeli rewolucja polska ma kroczyć między biegunami — musi odnaleźć coś co je może rzeczywiście powiązać. To, co głębiej od przymusu jest więzią między zbiorowością i jednostką — to dobrowolne uspołecznienie. Spółdzielczość jest dobrowolnym uspołecznieniem w gospodarce. Gdyby zawiodła — trzebaby wywierać przymus, aby nie rozpaść się w anarchii. c. d. n.

A. Rapacki.

DZIEŃ POWSZEDNI GDYNI

Stoję u stóp Kamiennej Góry. Rozległego, betonowego tarasu strzegą z obu stron ciężkie działa. Odczytujemy napisy na lawecie. To działa polskie zgrupowania morskiego płk. Dąbka, które przez długich 19 dni wstrzymywały w 1939 r. napór niemiecki na Gdynię. Niemcy ustawili je tutaj, na urągowisko, na wieczne świadectwo germańskiej potęgi. Stoją i dziś.

I Gdynia znowu tętni życiem. Miasta takie, jak Warszawa, Kraków, czy wreszcie Łódź, poświęcają dni 1 i 2 listopada przeszłości: swoim umarłym. W Gdyni — inaczej. W tym mieście ludzi młodych, żyjących przyszłością, rzadko kto posiada groby bliskich na miejscowych cmentarzach. Na ulicach nie widać charakterystycznych wieńców, niesionych przez poważne starsze panie w żałobie: Gdynia pracuje, oddycha przyszłością.

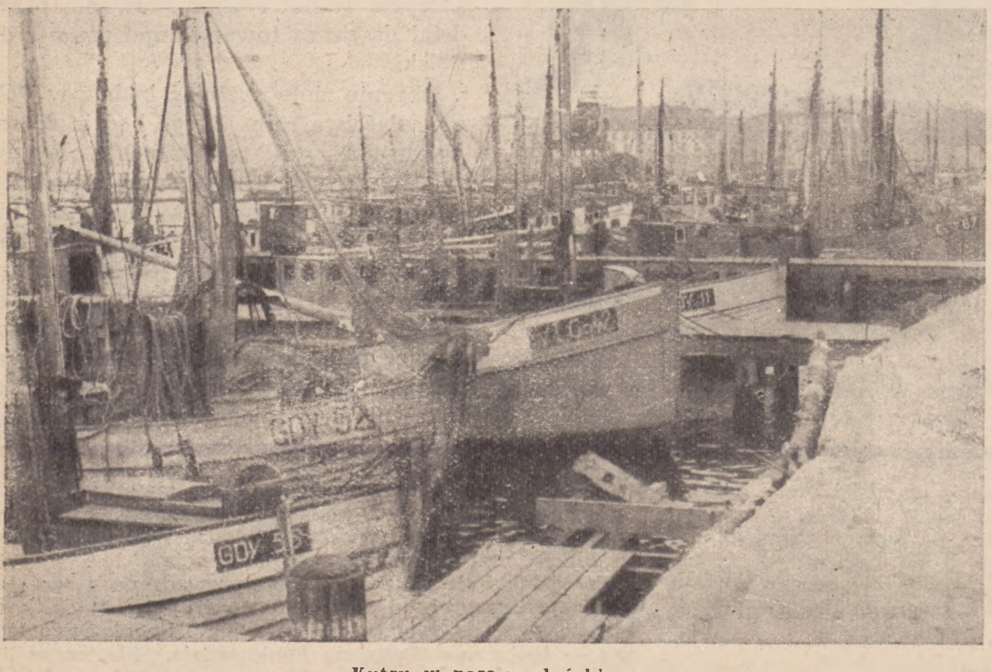
Wędrujemy prostymi, długimi ulicami, po których hula wiatr. O jego sile szczury lądowe mogą mieć tylko niejasne wyobrażenie. Piekielny wiatr rodzi się z morza, następnie korzysta z obszernych, nie zabudowanych jeszcze przestrzeni miasta. Trzeba tu zbudować drugie tyle, by wypełnić wszystkie luki krajobrazu. Narazie remontuje się tylko budynki wypalone, które dzięki silnej konstrukcji żelbetowej dają się doprowadzić do stanu używalności względnie niewielkim kosztem.

Przedłużenie reprezentacyjnego skweru Kościuszki stanowi wrzynająca się głęboko w morze aleja Zjednoczenia. Roztacza się stąd rozległy widok na południową część portu. Przed półtora rokiem był to widok zniszczenia i pustki. Dziś, gdy każdy odcinek nabrzeża jest odcinkiem wytężonej pracy, rany zadane przez wroga znacznie słabiej rzucają się w oczy. Wprawdzie po dawnemu boleśnie uderza poszarpana linia falochronu i zamarłe w bezruchu dźwigi. Ale równoważą ten obraz wyremontowane magazyny, długie składy pociągów towarowych, wpływające i wypływające statki.

Na najdalszym krańcu alei Zjednoczenia wznosi się okazały budynek Morskiego Instytutu Rybackiego, w którym mieści się morskie laboratorium badawcze. Tu stwarzane są naukowe podstawy dla jednej z najmłodszych gałęzi naszego gospodarstwa narodowego, jakim jest rybactwo. W ciepłych, przytulnych pokojach zapomina się o szalejącej za oknem wichurze.

Dr. Kazimierz Dehmel, jeden z twórców laboratorium, cierpliwie zapoznaje mnie z działami pracy, których jest trzy: biologia morza, ichtiologia oraz technologia rybacka. Ta gałąź wiedzy jest w nauce polskiej stosunkowo nowa, jednak już w dwudziestoleciu międzywojennym osiągnęliśmy na tym polu poważne wyniki. Większość pracowników laboratorium to pionierzy, którzy wywodzą się jeszcze z małego laboratorium na Helu, założonego w 1923 r. Ta prywatna wówczas impreza rozwinęła się dziś do poważnych rozmiarów w ramach Generalnego Inspektoratu Rybactwa Morskiego.

Wywyższenie w hierarchii państwowej spraw rybactwa oznacza, że można się spodziewać szybkiej, a bardzo rybactwu potrzebnej pomocy. Bo oto przed wojną nasz maleńki skrawek wybrzeża posiadał 280 kutrów, Niemcy zaś na przestrzeni Szczecin — Elbląg mieli ich około 800, co razem daje cyfrę 1080. Tymczasem dziś na całym tym terenie posiadamy kutrów zaledwie 70, z czego na samą Gdynię przypada ok. trzydziestu. Rybaków powinno być 6—8 tys., mamy ich dziś 2 tysiące. Są już jednak oznaki poprawy: trzyletni plan gospodarczy przewiduje podniesienie liczby kutrów do 300.



Kutry w porcie gdyńskim.

Dziś ubogie nasze rybactwo spisuje się wcale nieźle. Wiąże się to — jak powiada p. Dehmel — z niewytłumaczonymi zmianami, jakie obserwuje się w morzu. W porównaniu do stosunków przedwojennych, zniknął z wód Bałtyku szprot, pojawił się natomiast w niespotykanej dotąd ilości dorsz. Sygnalizowano już w lecie o nieprawdopodobnych połowach dorsza, ale proszę spojrzeć na cyfry: gdy w 1935 r. przypadało na jeden kuter rocznie 2,5 tony dorsza, dziś przypada 160 ton.

Podobnych informacji o dorszu udziela mi dyrekcja spółki „Dalmor". Nazwa spółki pochodzi od połowów dalekomorskich, które są przedmiotem jej działalności. Odbywają się one na Morzu Północnym. Wobec tego że Bałtyk należy do mórz o słabym zasoleniu (o,7%), niektóre gatunki ryb wcale się tu nie pojawiają, inne zaś występują w formie skarlałej (np. małe flądry bałtyckie i duże — północne). Do połowów służą jednostki dużo większe od kutrów: trawlery i lugry. Obsługa ich wymaga znacznego zasobu wiadomości żeglarsko-rybackich. Dość wspomnieć, że szkolenie rybaka dalekomorskiego trwa 4 lata. Toteż szyprami polskich trawlerów są do dziś wyłącznie rodowici Holendrzy. Jednak załoga tych statków jest już w 30% polska i procent ten będzie niewątpliwie szybko wzrastał.

Przedwojenny stan posiadania rybactwa dalekomorskiego wynosił 30 jednostek, dzisiaj mamy ich tylko 4, ale cyfra ta niebawem wzrośnie do 10, zwłaszcza, że już przed wojną wytwarzaliśmy we własnych stoczniach trawlery nie gorsze od angielskich.

Wobec braku mięsa na rynku a dużych stosunkowo możliwości polskiego rybactwa, spożycie ryb powinno wzrosnąć. Przed wojną, gdy 2/3 ryb zmuszeni byliśmy sprowadzać z zagranicy, na głowę polskiego konsumenta wypadało 1,5 kg ryby rocznie, w Niemczech zaś — 16 kg. Rynek polski, przyzwyczajony naogół do ryby solonej (śledzie) powinien przyzwyczaić się do ryby świeżej, której wartość odżywcza przewyższa nawet wartość świeżego mięsa.

Jerzy Płażewski.

Wprost z dzikiego pastwiska wyrasta 6-cio piętrowa kamienica.





Armaty płk. Dąbka stoją nadal na Placu Grunwaldzkim w Gdyni.

WIEN, WIEN NUR DU ALLEIN

Gdzie się podział stary Wiedeń z rozbawionym Praterem, rozśpiewanymi knajpkami na Grinzingu, romantycznym Laskiem Wiedeńskim?

Nie wszyscy go pamiętamy z tamtych czasów, ale wszyscy pamiętamy go z filmów à la „Wielki Walc", i jesteśmy zaskoczeni dzisiejszym smutnym, głodnym Wiedniem, którego centralnym zagadnieniem są lebensmittelkarten i bezugscheine...

• • •

Wchodzę do kawiarni. Zamawiam kawę; podają mi gorzką lurę, do której przezornie dodają gratis szklankę zimnej wody. Pusto i smętnie. Gdzieś w głębi emeryt, pamiętający czasy Franciszka Józefa, czyta „Wiener-Kurier". W kącie schowała się jakaś parka, popijając z niesmakiem perfumowaną herbatę. A oto wchodzi elegancki starszy pan, zamawia piwo, wyjmuje z teczki dwa cieniutkie kawałki chleba, prosi kelnera o nóż i smaruje z pedanterią swój chleb margaryną...

• • •

Inna scenka. Jest ciepły wieczór. Jezdnią spaceruje czterech podchmielonych chłopców, trzymając się pod ręce. Śpiewają wesołą piosenkę, zataczają się i utrudniają ruch uliczny. W przedwojennym Wiedniu policjant przyłączyłby się do nich i spacerowaliby dalej w piątkę. Dziś porządku pilnuje amerykańska Military Police, popularna M. P. Oto zajeżdża na motocyklu przedstawiciel tych groźnych liter. Wygląda jak egzotyczny owad. Na głowie nosi wielki zielony emaliowany hełm z czerwonym pasem poprzecznym, ciemne okulary zakrywają pół twarzy. Szyję zdobi kokieteryjnie zawiązany szalik pomarańczowego koloru. Nie ma zrozumienia dla humoru Wiedeńczyków, wesoła czwórka wędruje do komisariatu.

• • •

W przepełnionym tramwaju, zwracam się do konduktora z zapytaniem w języku angielskim. Słysząc to jakiś młody człowiek wstaje z siedzenia, uchyla kapelusza i ustępuje mi miejsca. Nie jestem ani starcem, ani ułomnym, ani kobietą, tylko umiem parę słów po angielsku.

• • •

Amerykański żołnierz w trolejbusie bywa rzadkością. Nic dziwnego, że Wiedenki przyglądają mu się z zainteresowaniem. Furażerkę nosi wgnieciona z nonszalancją na prawe oko, żuje gumę. Nagle wypluwa ją przez okienko i zapala autentycznego Chesterfielda. Wychodząc z wagonu gasi go o futrynę drzwi i rzuca na podłogę. Dwóch wytwornych panów schyla się jednocześnie, aby podnieść niedopałek... Są dobrze wychowani: znaleziony skarb zostaje podzielony na dwie równe części. Na publiczności ta scena nie robi wrażenia...

• • •

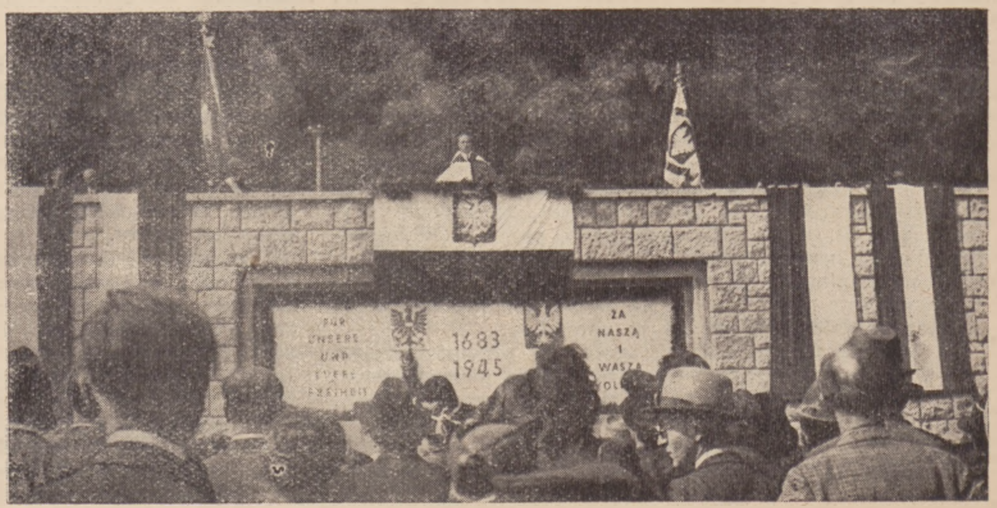
Mimo wszystko Wiedeńczycy nie stracili poczucia humoru. Aktualności filmowe „Welt im Bild" pokazują Byrnesa, który wygłasza swe znane przemówienie w Stuttgarcie... Cytowane są jego słowa: Austria cieszy się własną swobodą... Sala wybucha śmiechem...

Andrzej Wyga

Widok Wiednia. Z lewej strony gmach parlamentu, z prawej — teatr.



Przedstawiciele partyzantów polskich walczących na terenie Austrii brali udział w odsłonięciu tablicy pamiątkowej na Kahlenbergu.



BISKUPIN W NOWEJ FAZIE
WYKOPALISKOWEJ

W odległości 9 klm. od Żnina, tuż za gromadą Gogułkowo rozciągają się szerokim pasem łąki i pola, z których część położoną bezpośrednio nad jeziorem, liczącą około 210 m. długości oraz 160 m. szerokości zajmuje teren wykopalisk Biskupin. Dziś jest on półwyspem, kiedyś jednak w zamierzchłych wiekach (przypuszczalnie 4—7 wiek przed Chrystusem) Biskupin stanowił bagienną wyspę otoczoną ze wszech stron wodami głębokiego jeziora. Korzystając z uprzejmości kierownika tamtejszych prac wykopaliskowych Dr. A. Rajewskiego przechodzimy na teren wykopalisk pocięty rowami dochodzącymi do 1,60 m. głębokości.

Wobec otchłani wieków.

Stajemy na odcinku Biskupina, który przed wojną w roku 1939 był już odkopany. Niestety germański najeźdźca chcąc zniszczyć ślady słowiańszczyzny zasypał piaskiem przeprowadzone już wykopaliska. Liczyły one około 7 tys. m. kw. Obecnie usuwa się piasek, spod którego widać ułożoną z pali dębowych część ulicy grodu oraz podłogę chaty prehistorycznej.

Gród biskupiński należał do t. zw. grodów plemiennych. Zbudowany na wyspie stanowił jak na ówczesne czasy silny gród obronny liczący do 110 chat. Grody tego rodzaju stanowiły jak gdyby centrum cywilizacji poszczególnych plemion słowiańskich gromadząc w swych obronnych wałach przedstawicieli rzemiosła i innych sztuk stosowanych. W grodzie biskupińskim mieszkało prawdopodobnie około 1000 osób. Znajdowane odłamki garnków oraz szeregu narzędzi używanych przez rzemiosło prastarych wieków świadczą o dużym rozwoju rękodzielnictwa jak: tkactwo, garncarstwo, ciesiółka i obróbka skór. Była to epoka, w której żelazo stanowiło prawdziwy rarytas ozdobny. Znaleziony kawał blaszki złotej, która stanowiła jak gdyby oprawę dla tkwiącego w niej guzika żelaznego mówi dostatecznie przekonywująco o ówczesnej wartości żelaza.



Jedna z chat dawnego grodu.

Przed bramą grodu biskupińskiego.

Z kolei przechodzimy na odcinek robót wykonywanych obecnie. Znajdujemy się przed bramą wjazdową do grodu. Widać tkwiące w wodzie pale ulicy okrężnej opasującej cały gród wokół, rozpoczynającej się i kończącej na bramie wjazdowej. Dr. Rajewski wskazuje na tkwiące w ziemi pale noszące wyraźne ślady ognia. Gród atakowany był prawdopodobnie przez wroga tzn. sąsiedni szczep plemienny lub też jakąś watahę Scytów, którzy potrafili z nad Morza Czarnego przewędrowywać aż na teren wielkopolski. W czasie bitwy — wał ochronny zbudowany z drewnianych bierwion i piasku został podpalony i waląc się podpalił część pali składających się na ulicę. W tym miejscu widać jest dokładnie falochron układany przed wałem ochronnym i ułożony w 9-cio rzędowym pasie słupów dębowych wbitych na ukos w dno jeziora.

Wnętrze chaty prasłowiańskiej.

Każdy dom prasłowiański podzielony był na kilka komór, wprawdzie nieoddzielonych od siebie żadnymi ścianami, ale z wyznaczoną powierzchnią podłogi. Środek chaty zajmowało palenisko ułożone z kamieni, nad którym zbudowany był stojak do wieszania garnków. W kącie izby znajdowało się legowisko rodzinne. Inne „komory" przeznaczano na warsztaty i różne skromne sprzęty domowe.

Chatę taką zamieszkiwało przypuszczalnie od 7 do 10 osób.

Rekonstrukcyjne warsztaty Biskupina.

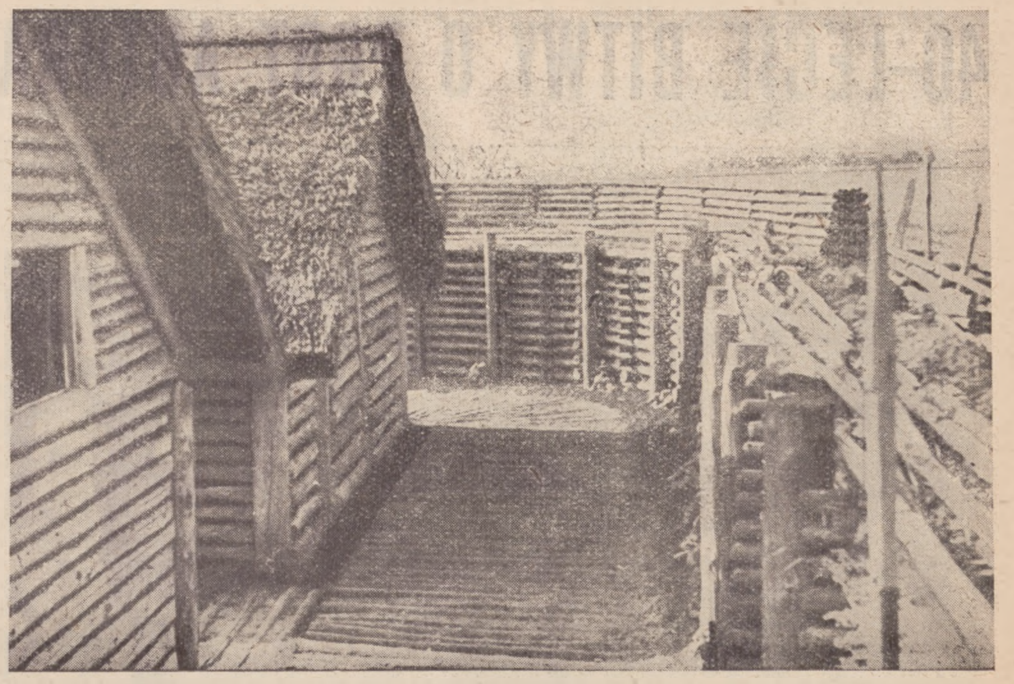
Obok baraku mieszkalnego znajdują się budynki przeznaczone na pomieszczenie dla personelu technicznego i biurowego wykopaliska.

Trzy izby w nich zajmują warsztaty, w których rekonstruuje się przedmioty pierwszej potrzeby starożytnych słowian. Żmudna to praca ale jakże ciekawa. Z odnajdywanych odłamków zlepia się garnki i urny używane w prastarym grodzie biskupińskim. Oczyszcza się i utrwala siekierki odlewane z brązu i półfabrykaty pozostawione przez rzemieślników na swych prymitywnych warsztatach pracy.

Nie brak wśród sędziwych eksponatów wędzideł końskich zbudowanych z brązu i twardego rogu. Wyglądają one tak jak dzisiejsze wędzidła. Często napotykane czaszki zwierząt domowych potwierdzają, iż w grodzie biskupińskim hodowane były liczne okazy zwierząt domowych jak: konie, krowy, świnie i psy.

Ciekawie przedstawia się dział amuletowy. Kawałek kręgu suma, kieł wilka lub dzika miał bronić właściciela amuletu przed nieszczęściami. Wszystko na co spojrzeć w Biskupinie pokryte jest starą patyną wieków. Biskupin, to jedna z tych miejscowości na kuli ziemskiej, gdzie człowiek zdaje sobie sprawę z nicości jaką przedstawia wobec potęgi życia i minionych wieków.

Z Biskupina — mówi dr. Rajewski — pragniemy stworzyć gród zbudowany w taki sam sposób w jaki zbudowany był przez Polaków Słowian przed 27-mioma wiekami. Na razie zrekonstruowano dwie



Prace wykopaliskowe w Biskupinie były już bardzo zaawansowane w 1939 r.

chaty i częściowo bramę wjazdową. Na podstawie zdjęć dokonanych z lotu ptaka nauka zdolna jest stworzyć to co istniało w tym miejscu tysiące lat temu. Państwo nie szczędzi pieniędzy na prowadzenie prac wykopaliskowych w Biskupinie. Mamy zapewnienie, że otrzymamy każdą sumę potrzebną na kontynuowanie naszych robót. Brak jest nam ludzi i dlatego nie będziemy w stanie doprowadzić szybko Biskupina do stanu z przed 1939 r. Niemcy celowo zasypywali wykopaliska wywożąc do Rzeszy najcenniejsze okazy muzealne.

Na pytanie nasze, czy pale ulic prastarego grodu będą specjalnie konserwowane — Dr. Rajewski: odpowiada:

To wszystko co pan tu widzi pozostanie nadal pod cienką warstwą wody, gdyż ona najlepiej konserwuje to drewno. Nie potrzebujemy zabezpieczać tych ulic przed czasem, gdyż przetrwają jeszcze długo. Jak wspaniale konserwują się w ziemi i pod wodą wszelkiego rodzaju przedmioty włącznie do drzewa, najlepszym dowodem tego jest wykopany w Gnieźnie w roku 1938 garnek z miodem. Przetrwał on w ziemi ponad 1000 lat i napewno nie pogardziłby nim nawet taki znawca miodów jak imć pan Zagłoba herbu Wczele.

Biskupin ze swymi wykopaliskami pozostawia na każdym, kto umie się tylko wczuć w atmosferę dalekiej przeszłości, niezatarte wrażenie. Warto go zobaczyć i odetchnąć przez chwilę powietrzem wieków, które się nad nim unosi

A. W. Sieński.

SZKOŁA DEMOKRACJI
czyli Łódzka Powsz. Spółdzielnia Spożywców

Za komórkę - matkę dzisiejszej PSS uznać należy spółdzielnię „Wyzwolenie", założoną przez robotników fabryki Geyera w r. 1913. Ta bowiem spółdzielnia, przez stopniowe wchłanianie innych stowarzyszeń spożywców, wyrosła w r. 1924 na PSS.

Droga do tej powszechności była istotną szkołą demokracji, procesem jednania dla wspólnej sprawy robotniczej ludzi rozmaitych poglądów, należących do stronnictw nieraz ostro zwalczających się na terenie politycznym. Demokratyczny (w znaczeniu kompromisowości politycznej) był i start PSS, kiedy to jedna z jej poprzedniczek ,a niebawem część składowa — „Przyszłość" — wystąpiła z „Promienia", nie godząc się na jego ekskluzywność partyjną — niedopuszczanie na członków spółdzielni robotników, nie należących do „socjalnej demokracji".

Nie będąc wyłącznie socjal-demokratyczną, nie przestała spółdzielczość w Łodzi być ruchem proletariackim, demokracją ludową. Przeciętnie należało do spółdzielni powszechnych, w okresie powstania PSS, 70 proc. robotników, 11 proc. „przy mężu" (czytaj: żon robotników), 1 proc. małorolnych, 5 proc. pracowników umysłowych, a tylko 7 proc. „innych". wśród których — kto wie?, obok łaciarza - szewczyny mógł się zaplątać jaki taki „krwiopijca", ale na walnych zebraniach decydował nie jego głos, lecz wola delegatów 15 tysięcy najemników.

W ten sposób PSS dała polityce robotniczej pierwszą lekcję ekonomii demokratycznej: prowadźcie politykę proletariacką, ale w życiu spółdzielczym tolerujcie wszystkie klasy, ponieważ **wszyscy są spożywcami,** a wasze stowarzyszenia potrzebują jak najwięcej członków. Metoda okazała się praktyczna: PSS prosperowała pod hasłem powszechności, ruch spółdzielczy skonsolidowany rósł w siłę; w obronie spółdzielni stawały światłe jednostki spośród miejscowego kleru. Np. pewien autor w sutannie zwalczał insynuacje sklepikarzy, jakoby spółdzielczość była ekspozyturą materializmu. „Spółdzielczość — wołał ksiądz — ma znaczenie moralne i odgrywa ważną rolę w chrześcijańskim ruchu społecznym".

Za wielki triumf postępu demokratycznego uważa sprawozdanie zarządu z roku 1936 fakt, że ilość kobiet pełnomocnic na zebranie walne osiągnęła 22 procent. A wszakże były kraje demokratyczne, w których kobiety nie miały prawa do mandatów nawet w spółdzielniach.

Oczywiście PSS kierowała się i inną złotą regułą demokracji spółdzielczej: jeden członek, jeden głos. Najwyższą instancją stowarzyszenia było zawsze i nieodwołalnie walne zgromadzenie. W tym ładzie zbiorowego życia ćwiczyło się przez ćwierć wieku kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Niemały to wkład do sprawy demokratyzacji społeczeństwa.

PSS podniosła również dobrobyt i kulturę swych członków.

Zaraz w pierwszym dziesiątku lat swego istnienia zaoszczędziła ona swym członkom blisko czterysta tysięcy złotych pod postacią zwrotów od zakupów. W majątku — w nieruchomościach, udziałach, funduszach społecznych, oświatowych itp. — ok. dwu milionów zł. Zawrotne te, jak na nasze stosunki, sumy zostały w kieszeni ludu pracującego. Czy tylko w pieniądzach wyraża się wzrost dobrobytu? A zysk tyloletni na uczciwej wadze, dobrym gatunku towarów, przyuczenie ludzi do solidnej kalkulacji, do kupowania za gotówkę? A



Powszechna Spółdzielnia Spozy wców w Łodzi — szwalnia.



P. S. S. — wnętrze sklepu.

zysk na zdrowiu wskutek spożywania towarów niefałszowanych?

Z biegiem lat konsolidował się element członkowski, skąd wynikła możliwość opracowania trzyletniego planu. Była to więc już konkretna przewaga spółdzielczej myśli ustrojowej nad podjazdówką handlu prywatnego, polującego anarchicznie na przygodną klientelę. Niestety, wrzesień 1939 zwichnął tę zdobycz na finiszu.

Wreszcie: kanon sprawiedliwości. Świadectwem jest tu atrakcyjność spółdzielni łódzkiej. Gdyby ją otaczała sława niesprawiedliwości, ilość jej sklepów nie podwoiłaby się zaraz w pierwszym dziesięcioleciu, ani liczba członków nie zwiększyłaby się z 6 tysięcy do dwunastu.

Tak się przedstawia spółdzielczy rachunek sumienia łódzkiej „Powszechnej". Dotyczy okresu do roku 1939, gdyż rozrost tej instytucji w powojennej służbie aprowizacyjnej nie jest zjawiskiem spółdzielczym, nie jest wynikiem współdziałania mas konsumentów, świadomych swych celów i środków, a więc miara deklaracji ideowej Tow. Kooperatystów doń się nie stosuje. Słychać atoli, że łódzki Roczdel nie umarł. że budzi się do nowego okresu iście spółdzielczego, tj. podporządkowującego gospodarkę materialną dominantom duchowym, jak na prawdziwy ruch odrodzeńczy przystało.

F. K.

40-LECIE BITWY O PORT ARTURA



(fot. Sarkin)

Przedstawiciele armii kwantuńskiej podpisali kapitulację na przedpolu Portu Artura, w miejscu, gdzie przed czterdziestu laty toczyły się zacięte boje rosyjsko-japońskie. Na zdjęciu: spotkanie delegacji radzieckiej z delegacją armii kwantuńskiej.

WALKA WYBORCZA W U.S.A.



(Daily Mirror)

Henry Wallace, były minister handlu, reprezentujący lewicowy odłam demokratów na licznych wiecach przedwyborczych wypowiada się przeciwko polityce Trumana i Byrnesa.

JUDASZOWY POCAŁUNEK



Premier egipski Sidky Pasza bawił niedawno w Londynie, gdzie domagał się od Wielkiej Brytanii wycofania wojsk angielskich z Egiptu i Sudanu. Pomimo serdecznego przyjęcia zabiegi jego nie przyniosły pozytywnego rezultatu. Na zdjęciu: Sidky Pasza całuje się z min. Bevinem.

NORMALNE OBRAZKI W STANACH ZJEDN.

W płynących miodem i mlekiem Stanach Zjedn., „własnym kraju Pana Boga" — sceny uliczne, jakie przedstawia załączona fotografia, są czymś normalnym. Strajkujący robotnicy obstawiają porzucone zakłady i nie dopuszczają do pracy łamistrajków, których zawsze znajdą big-businessmeni amerykańscy. Na zdjęciu strajk statystów i pracowników studio filmowych w Hollywood.

Nie obeszło się bez próby złamania tego strajku. Przedsiębiorcy filmowi stworzyli ad hoc własny Związek Zawodowy, który chciał przełamać akcję strajkujących, domagających się podwyżki płac. Doszło do bójek, w których policja amerykańska interweniowała tylko o tyle, aby nie dopuścić do rozlewu krwi. Poza tym strajkujący i łamistrajki mogli się bić ile wlezie. Ostatecznie zwyciężył właściwy i prawdziwy związek zawodowy.



W otchłani milczenia

Nigdy, zdaje się, świat nie rozwiąże zagadki tragicznej śmierci najlepszego pilota angielskiego, pioniera lotów rekordowych kpt. Geoffreya de Havillauda, z którego nazwiskiem związane są dzieje rozwoju lotnictwa nietylko brytyjskiego.

Pewnego wieczoru kpt. de Hevillaud zamknął się w kabinie aparatu, najbardziej nowoczesnego, jakikolwiek dotychczas opuścił warsztaty lotnicze i zniknął na tle ciemniejącego nieba. Nie był to pierwszy lot na nowym typie samolotowym, ponieważ od lat każda maszyna, opuszczająca zakłady de Havillauda, wypróbowywana była zawsze przez niego samego.

Nowy samolot DH-108 różnił się jednak zasadniczo od innych, używanych powszechnie. Silnie cofnięte w tył skrzydła nadawały mu wygląd niezwyczajny, jakby miał poruszać się do tyłu; były one wynikiem studiów de Havillauda nad budową samolotu rakietowego, którego szybkość miała przekroczyć dotychczasowy rekord szybkości (616 mil na godz.). Obserwatorzy startu de Havillauda opowiadają o wspaniałym obrazie, jaki tworzył pęd jasnego samolotu na tle ciemnych chmur. Byli toteż ostatni ludzie, którzy wogóle widzieli przy życiu kapitana de Havillauda. Tego samego wieczoru samolot eksplodował w okolicach ujścia Tamizy z taką siłą, że nie znaleziono ani szczątków pilota ani samolotu. Jedynie z drobnych drzazg metalowych i drzewnych, znalezionych w morzu, wywnioskowano, że należały do samolotu DH-108, ale bezpośrednia przyczyna katastrofy nie dała i prawdopodobnie nie da się ustalić.



Możliwe, że kpt. de Havillaud pobił rekord szybkości w powietrzu i zapewne zbadał w tym niezmiernie krótkim momencie więcej zagadnień lotniczych niż jakikolwiek z żyjących lotników. Postawiono bowiem hipotezę, że szybkość jego musiała przekroczyć granicę kompresywności, w chwili gdy pęd powietrza, przepływającego wzdłuż samolotu, przekracza szybkość głosu. Mogła powstać wówczas stała fala dźwiękowa, której drgania jak młotem kowalskim mogły rozedrzeć samolot w drzazgi. Prawdopodobnie więc kpt. de Havillaud przekroczył granicę przestrzeni, gdzie już nie ma dźwięków i panuje wieczne milczenie. Z przestrzeni tej już nie wrócił.

S. S.

LUD STARSZY OD MAYÓW



Amerykanie dumni są, jeżeli na kontynencie swym znajdą ślady zamieszkania starszych od nich kulturalnych ludów, zapominając o tym, jak świeżymi są przybyszami. Stąd na wszystkie ekspedycje archeologiczne na kontynencie amerykańskim znajdują się natychmiast ogromne sumy, znacznie większe od kwot, jakimi kiedykolwiek rozporządzała jakakolwiek ekspedycja europejska.

Ostatnio w Ameryce środkowej odkryto ślady starej kultury, sięgającej czasów przedchrystusowych w miejscowościach Monte Alban i La Venta w północnym Meksyku. Na przestrzeni 60 km kwadr. odkryto ruiny miasta, pełnego budynków publicznych i świątyń. Żyło tam plemię, którego kultura była starsza od Mayów, tym ciekawsze, że nie posiadające żadnej przekazanej historycznie nazwy. Archeologowie nadali mu nazwę ludu La Venta od miejscowości, gdzie odkryto zabytki. Wiadomo o nim dziś tylko tyle, że było ludem miłującym pokój, gdyż żaden z odnalezionych rysunków nie przedstawia wojny. Nie znaleziono również żadnej broni. Być może ten fakt spowodował jego szybkie wyniszczenie przez wojowniczych Azteków.

Jednym z najciekawszych zabytków są gliniane gwizdki w kształcie ptaków, dokładnie oddające głos ptaka, którego przedstawiają. Stwierdzono również, że lud La Venta znał użycie kół przy wozach, na co wskazują odnalezione figurki. Jest to pierwsze tego rodzaju znalezisko w Nowym Świecie, który, jak to stwierdzają historycy podbojów kolonizacyjnych XVI wieku, wogóle nie znał wynalazku kół. Lud La Venta znał również rachubę czasu i kalendarz, którego najwcześniejsza data zdaje się wskazywać na rok 31 przed Chrystusem. Liczby kalendarza pozwalają również wnioskować, że znane im było także używanie zera w matematyce, które wynaleźli Hindusi dopiero w 600 lat później. Poza tym jednak nie wyszli jeszcze z epoki kamiennej, nie znając całkowicie narzędzi metalowych. Dlaczego swych wynalazków nie przekazali swym sąsiadom, pozostanie ich tajemnicą.

TRADYCYJNY CEREMONIAŁ



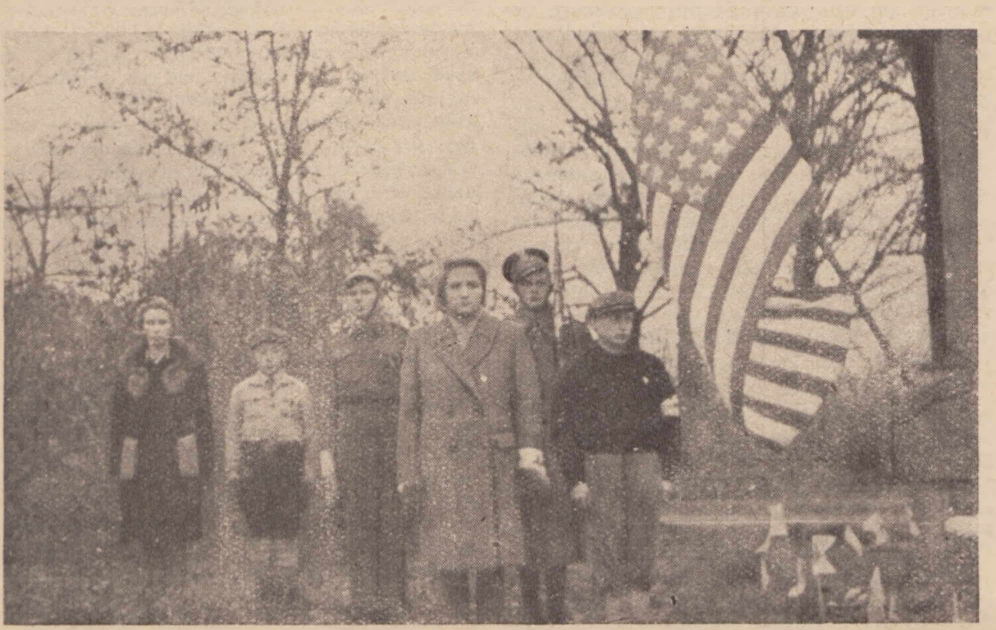
(Sphere)

W Lincoln odbyła się uroczystość objęcia urzędu dziekana Katedry przez biskupa Lesle Owen. Na zdjęciu: biskup Owen uderza pastorałem w drzwi katedry według obowiązującego ceremoniału.

W HOŁDZIE POLEGŁYM

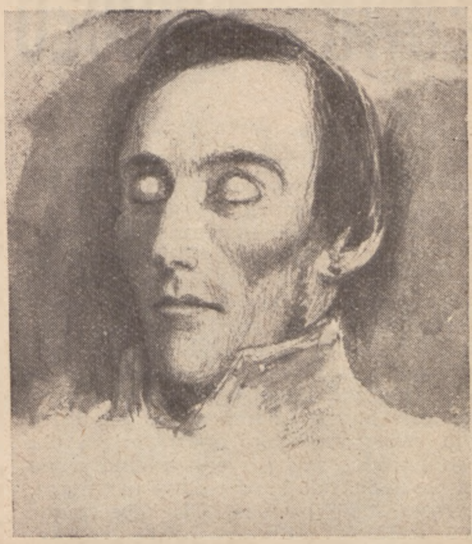


Weteran—rewolucjonista z 1905 r. Bolesław Garaj, przemawia w dniu Święta Umarłych na stokach cytadeli warszawskiej na miejscu straceń bojowców PPS z 1905 r. (S. A. P.)



Warta honorowa na miejscu śmierci lotników amerykańskich, którzy zginęli w dniu 18.8.1944 r. niosąc pomoc powstańcom warszawskim. (S. A. P.)

SETNA ROCZNICA ŚMIERCI K. MARCINKOWSKIEGO



Dnia 7 listopada br. przypada setna rocznica śmierci Karola Marcinkowskiego, zasłużonego na niwie społecznej lekarza poznańskiego. Już przed stu laty szlachetny umysł dra K. Marcinkowskiego pracował nad zagadnieniami, które stały się sztandarowymi hasłami naszych czasów. Kwestia polepszenia losu klas robotniczych, szkółek, ochronek, kas pożyczkowych i oszczędnościowych, opieki społecznej jako instytucji państwowej — to idee, które głosił i starał się jak najszybciej przeprowadzić, poświęcając ich urzeczywistnieniu całe swe czynne i ofiarne życie. Społeczeństwo poznańskie, w którym żyje jeszcze świeża tradycja działalności Marcinkowskiego, czci pamięć swego wielkiego syna, organizując w Muzeum Wielkopolskim w Poznaniu wystawę pamiątek i dokumentów po nim.

I. K.

WYSTAWA PRZEMYSŁU ŚLĄSKA OPOLSKIEGO W GLIWICACH

Na niedużym placu w Gliwicach mieszczą się pawilony poszczególnych gałęzi przemysłu polskiego, zjednoczeń, zrzeszeń, hut i fabryk. Poszczególne pawilony przyciągają uwagę zwiedzających, obrazując dorobek każdej dziedziny przemysłu. Do najbardziej ciekawych należy pawilon Centralnego Przemysłu Paliw Płynnych, zbudowany w formie szybu naftowego. Zjednoczenie Przemysłu Materiałów Ogniotrwałych ustawiło olbrzymi piec martenowski.

Wystawa gliwicka wzbudza zainteresowanie zarówno w kraju jak i za granicą.

Wiceministrowie Salcewicz, Czajkowski i Golański, przedstawiciele świata nauki w osobach nestora geografów polskich prof. Romera, prof. U. J. Leszczyńskiego, prof. Ak. Górn. Bolewskiego, prezesa Komisji KRN dla Ziem Odzyskanych Andrzeja Witosa i wielu innych wybitnych przedstawicieli społeczeństwa, wyraziło uznanie dla twórców i organizatorów Wystawy gliwickiej.

W ciągu dwóch pierwszych tygodni, od chwili otwarcia Wystawy liczba zwiedzających osiągnęła cyfrę 100.000 osób. Wśród nich znalazło się 27 przedstawicieli prasy zagranicznej i 48 przedstawicieli prasy krajowej.



Fantastyczny pawilon hutników polskich na wystawie w Gliwicach.

WIADOMOŚCI SPORTOWE

MECZ BOKSERSKI ROZEGRANY W ŁODZI między reprezentacjami Łodzi i Śląska był najpoważniejszą imprezą sportową ubiegłego tygodnia. Mecz ten miał bardzo wielkie znaczenie ze względu na udział niemal wszystkich czołowych bokserów polskich pretendujących do reprezentacji państwowej na mecz Polska — Szwecja w Sztokholmie. Mecz ten odbędzie się dopiero w połowie grudnia, a te władze pięściarstwa polskiego muszą za wczasu orientować się w sytuacji. Mecz zakończył się zwycięstwem Łodzi 10 : 6. Spotkanie to stało na wysokim poziomie. Szkoda wielka, że w wadze muszej nie mógł spotkać się z Bazarnikiem ze Śląska — Stasiak. Godnie go zastąpił Kamiński. Wynik remisowy nie krzywdzi żadnego z bokserów. Kamiński raz jeszcze udowodnił, że jest rzeczywiście pierwszorzędnym zawodnikiem i umie dostosować się do systemu walki przeciwnika. Mistrz Polski Grzywocz pokonał na punkty w wadze koguciej Stoleckiego. W wadze piórkowej Krawczyk ze Śląska wygrał z Mazurem. W tej wadze Łódź wystawiła rezerwowego zawodnika wobec choroby Marcinkowskiego. Jedną z najpiękniejszych walk wieczoru stoczył Woźniakiewicz (Ł) z Rademacherem. Woźniakiewicz zasypał gradem ciosów swego przeciwnika, który o mały włos nie przegrał przez K. O. Legenda o sławie Rademachera rozwiała się jak mgła jesienna. W wadze półśredniej mistrz Polski Olejnik pokonał Moczkę, który przed 15 laty rozpoczął swoją karierę sportową na Śląsku, będąc wówczas jednym z najlepszych pięściarzy polskich w wadze muszej. Moczko po pierwszej rundzie skapitulował. Olejnik wykazał bardzo dobrą formę. Najpiękniejszą walkę dnia stoczył wicemistrz Europy Pisarski. Miał on za przeciwnika rutynowanego boksera Śląska — Nowarę. Pisarski w pierwszej rundzie walczył b .ostrożnie, probując swoją wyleczoną rękę (złamaną w zeszłym roku w Pradze). Okazało się, że ręka jest zdrowa i Pisarski może walczyć bez żadnego ryzyka. W drugiej i trzeciej rundzie Pisarski zdobywa wyraźną przewagę i zwycięża zdecydowanie na punkty. Zwycięstwo jego nad Nowarą otwiera mu raz jeszcze szeroką perspektywę do dalszej jego kariery sportowej. Pisarski był najlepszym zawodnikiem zawodów. W wadze półciężkiej Żylis (Ł) zremisował z Kolonką. Walka mało ciekawa, chociaż obaj bardzo silni i dobrze zbudowani fizycznie. W wadze ciężkiej mistrz Polski Niewadził z trudem uporał się z Kubicą. Zwycięzył nieznacznie na punkty Niewadził.

MISTRZOWSTWA POLSKI W WADZE ŚREDNIEJ dokończone zostały nareszcie przed meczem Śląsk — Łódź. Jako faworyt na ringu stanął mistrz Kolczyński. Miał on za przeciwnika Sobczaka z Poznania. Już po pierwszym starciu Kolczyński zaczyna krwawić. Ma rozcięte łuki brwiowe. Sytuacja przedstawia się krytycznie, bo krew zalewa oczy Kolczyńskiemu. Walczy jednak nadzwyczaj ambitnie i w drugiej rundzie dwa razy posyła Sobczaka na deski. Ostatecznie pojedynek ten kończy się zasłużonym zwycięstwem Kolczyńskiego, który mimo tego, że jest zawodnikiem o światowej sławie, dopiero 3 listopada 1946 roku zdobył po raz pierwszy tytuł mistrza Polski. Dzień ten w życiu Kolczyńskiego będzie zapewne historyczną datą.

Niebawem wszyscy najlepsi pięściarze Polski zjadą się do Międzyrzecza. Trenować ich będzie Feliks Sztamm przed ostatecznym ustaleniem składu reprezentacyjnego na wyjazd do Sztokholmu.

W NAJBLIŻSZĄ NIEDZIELĘ MIEĆ BĘDZIEMY DALSZE MECZE O MISTRZOSTWO POLSKI. AKS spotka się u siebie z Polonią, a ŁKS grać będzie w Poznaniu. Ten pierwszy mecz między Polonią a AZS może zadecydować ostatecznie o losach pierwszego miejsca. W każdym bądź razie na razie prowadzi Polonia przed AKS, Wartą i ŁKS. Łodzianie raz na swoim boisku pokonali Wartę. Zobaczymy jak wypadnie spotkanie rewanżowe. Natomiast 17 bm. grać będą w dalszym ciągu następujące pary ŁKS u siebie spotka się z AKS, a Polonia grać będzie z Wartą. Rozgrywki o mistrzostwo Polski zakończone zostaną ostatecznie 1 grudnia br.

J. N.

ZŁOTE GODY SCENICZNE ZELWEROWICZA

Znakomity aktor Aleksander Zelwerowicz obchodził w dniu 8 b. m. 50-letni jubileusz pracy scenicznej. Na zdjęciu: Zelwerowicz w początkach swej kariery artystycznej.



Idealizm i materializm

SŁOWO — SPOIDŁO I „WIELOŚCIOWOŚĆ" KULTURALNA

(Dokończenie)

Jeżeli przez kulturę pojmować będziemy zespół stosunków, powstałych i kształtujących się na gruncie procesu wytwórczego w danej grupie społecznej, w określonym czasie — to stwierdzić należy, że nawet w obrębie jednego kraju na tle walki społecznej, jaka się toczy między poszczególnymi warstwami i klasami, może i musi nawet powstać kilka przeciwstawiających się sobie form i postaci kultury. Klasa panująca wprawdzie (jak w Polsce szlacheckiej) narzuca swoją kulturę innym warstwom jako obowiązującą dla całego narodu, jest to jednak klasyczne i typowe nadużycie każdej klasy panującej, roszczącej sobie pretensje do reprezentowania całości. („Rzeczpospolita znaczy: my" — powie ambitnie Hołysz do Karmazyna).

Przechodząc konkretnie do stosunków, jakie powstały i rozwinęły się w Polsce powojennej, należałoby stwierdzić, że obok przeżywających się form życia kulturalnego, reprezentowanego przez pokonane warstwy burżuazji i obszarników, wytwarza się nowa postać kultury, tworzonej przez sprzymierzone i współwalczące warstwy robotników i chłopów.

Kultura nie jest jednak czymś gotowym czy jednolitym, by się obładować cząstką tego skarbu. Istnieje ona w człowieku, przez człowieka, który jest jej żywym wcieleniem. Kultura nie jest żadną oderwaną prawdą, ani zwartą całością, lecz zespołem treści i wartości, uzależnioną od potrzeb jej nosiciela, środkiem działania i narzędziem walki o byt.

Dana forma czy postać kultury nie jest czymś zasadniczo nowym, lecz jest innym układem dawnych elementów (obok niektórych nowych), zespołem treści, które w innym układzie mogły wchodzić i wchodziły do dawnej, przezwyciężonej postaci życia kulturalnego.

Tworząc nową postać kultury nie mamy potrzeby wyrzekania się czy unicestwiania wartościowych i dających się użyć w działaniu składników kultury dawnej: tworzymy tylko nowy ich układ i zespół, wysuwając na czoło te, które w dawnym układzie marginesową mogły zajmować pozycję.

Nie jesteśmy jednak społeczeństwem termitów ani mrówek. Stosunki społeczne po wielkich i owocnych zmianach, jakie zaszły u nas po wojnie, są jednak dość zróżniczkowane i nie dadzą się ogarnąć jednym szablonem pojęć. Formy uspołecznienia i pracy zbiorowej w przemyśle są inne od form prywatnego władania ziemią i pracy indywidualnej chłopa. Nic więc dziwnego, że w związku z innymi formami uspołecznienia, jakie panują wśród tych warstw — mogą, a nawet muszą wytwarzać się inne formy wartościowania, inne zespoły elementów, składające się na kulturę danej warstwy społecznej.

Teraźniejsza, przemijająca walka polityczna przesłania nam nierównie ważniejszy od niej obraz i proces kształtowania się nowej kultury polskiej — właśnie z tych dwóch elementów — kultury, którąby zasługiwała na miano ludowej.

Mimo przewodniczej i awangardowej roli proletariatu i jego świadomości klasowej w kształtowaniu się nowej kultury, pominięcie czy celowe niedowidzenie wkładu, jaki wnieść musi do zbiorowej kultury ludowej narodu wyzwolone z pęt obszarnictwa chłopstwo, jest rezygnacją ze wzroku na rzecz węchu i dotyku.

Dlatego wszelkie próby narzucania przez pewne koterie literackie czy artystyczne jakiejś jednej określonej formy sztuki, uznanej za „wzorcową", wydają nam się szkodliwe dla całości naszego życia kulturalnego. Prowadzą one do obezwładnienia wysiłku twórczego zbiorowości, do sparaliżowania tych czy innych pierwiastków woli narodowej, która mogłaby i powinna się zamanifestować.

Zwolennicy sztuki wzorcowej, bezprzymiotnikowej, wskazują na „wyschnięte źródła twórczości ludowej", na tryumf radia czy patefonu, który w najdalszym zakątku zabezpiecza przewagę granej szmiry miejskiej, nad bezradnym seplenieniem zmartwiałej i zmumifikowanej sztuki ludowej...

Zapominają jednak o tym, że miasto dotąd narzucało wsi te „wzorce" sztuki czy kultury jako ośrodek życia, względnie wolnego i pełnego — środowisku zdystansowanemu, ubogiemu, pozbawionemu poczucia własnej wartości. Prof. Bystroń nie bez najgłębszej racji w swojej „Kulturze ludowej", podkreślając upadek samorodnej twórczości ludowej i analizując jego przyczyny, wskazuje na jej możliwości rozwojowe, zależnie od zmiany stosunków społecznych na wsi. Te zmiany obecnie właśnie dokonały się, chłop przestał być zbieraczem okruchów z pańskiego stołu, nabiera samowiedzy społecznej, poczucia własnej wartości, uświadamia sobie swą rolę sprawczą w życiu narodu.

To są właśnie warunki, które umożliwiają wyłonienie się nowych form życia kulturalnego. Zadaniem tedy czynników, powołanych do szerzenia kultury w społeczeństwie jest nie tyle rozpowszechnianie gotowych wzorców artystycznych i tworzenie „objazdowej kultury" pięknodusznych ośrodków centralnych, lecz stwarzanie warunków i atmosfery intelektualnej, sprzyjającej powstaniu sztuki i kultury, związanej z potrzebami danego środowiska społecznego i konkretnego geograficznego regionu.

Wymaga to jednak tej „wielościowej" polityki kulturalnej, polegającej na sumiennym i rzeczowym badaniu swoistych warunków życia i rozwoju każdego konkretnego środowiska społecznego w jego nowym przepostaciowaniu — i przystosowania się do tych osobliwości — podczas gdy łatwiej jest narzucić jakiś uświęcony kanon jako obowiązujący — wszystkie zaś inne przejawy nie mieszczącej się w tym szablonie sztuki, uznać na kicz i grafomanię.

Jan Nepomucen Miller

METODA „ULĘGAŁEK"

(Wyjątki z referatu Jana Brzechwy, prezesa łódzkiego oddziału Z.Z.L.P. wygłoszonego na walnym Zjeździe Literatów w Łodzi.

Wiemy wszyscy, jak ciężka była sytuacja materialna pisarza przed wojną. Ale przyszła epoka wielkich przemian i wielkich nadziei. Zdawało się, że teraz wreszcie los pisarza dozna rzetelnej poprawy i że w nowym porządku społecznym znajdzie się odpowiednie dla niego miejsce. Niestety, musimy to sobie powiedzieć otwarcie — prócz obietnic nie uzyskaliśmy nic. Manifest P. K. W. N. zapowiedział uprzywilejowanie pracowników kultury, Krajowa Rada Narodowa potwierdziła tę zapowiedź, a przedstawiciele rządu głosili ten mit przy wielu rozmaitych okolicznościach. Od chwili ogłoszenia manifestu P. K. W. N. upłynęły dwa lata. I rzeczywistość pozwala nam dzisiaj stwierdzić, że otrzymaliśmy czek, który nie ma pokrycia.

Twierdzenia moje dotyczyć będą wszystkich zawodów twórczych, ale mówić tu pragnę tylko o pisarzach. I postaram się udowodnić, że nie tylko nie ma mowy o jakichkolwiek przywilejach, ale przeciwnie, na każdym kroku daje się odczuć niechęć do ludzi pióra i jaskrawe ich upośledzenie. Zacznijmy od Ministerstwa Kultury i Sztuki. Mogłoby się wydawać, że w resorcie, gdzie kierownicze stanowiska zajmują koledzy literaci, departament literatury stanie się benjaminkiem. Tymczasem zaobserwować możemy dziwnie paradoksalny objaw: budżet tego departamentu w porównaniu z ogólnym budżetem Ministerstwa jest nieprawdopodobnie, po prostu śmiesznie nikły. Subwencje dla Związku Literatów jeszcze we wrześniu nie przekraczały 300.000 zł. Drugie 300.000 otrzymali pisarze z listy zasiłków. Te głodowe dotacje mają zaspokoić potrzeby literatury w Polsce. Słyszeliśmy wczoraj o milionach, które na literaturę, rzekomo są przeznaczone. Ale skoro ich nie dostają literaci, ani nie dostaje związek, to gdzie jest ta literatura?
Olbrzymie sumy z budżetu Ministerstwa Kultury i Sztuki łożone są na teatry. Nie żałujemy teatrom tych pieniędzy, ale nie wolno przecież zapominać, że nie ma teatru bez pisarza. Słyszymy nieraz skargi, że literaci nie zaspakajają potrzeb repertuarowych teatrów, ale nie dostrzegamy żadnej realnej troski o ułatwienie pracy pisarzowi.

Rząd wypłaca niektórym pisarzom zasiłki po 3000 zł. miesięcznie. Początkowo była to lista zasłużonych, potem przemianowano ją na listę ubogich. Skromne, niemal żenujące wsparcie dla pisarza ze strony Państwa. A przecież inna była obietnica. Rząd miał zabezpieczyć pisarzom nie żałosną wegetację za 3000 zł. miesięcznie, ale możność pracy twórczej. W Polsce jest trzystu kilkudziesięciu członków Związku Literatów. Trzystu kilkudziesięciu pisarzy, którzy mają odbudować za siebie i za tych, co zginęli, literaturę polską. Wśród tej garstki nie należy wyszukiwać mniej lub bardziej zasłużonych, mniej lub więcej ubogich. Państwo powinno troszczyć się o nich wszystkich. Legenda o dobrobycie wśród pisarzy, o wielkich zarobkach jest powtarzana bezkrytycznie przez ludzi prostych i przez dygnitarzy państwowych. Tę szkodliwą legendę należy zwalczać. Istotnie, jest pewna niewielka grupa pisarzy, którzy dzięki szczęśliwym, ale przypadkowym okolicznościom zarabiają więcej od innych. Cała jednak pozostała masa pisarzy ciężko walczy o byt. Jeżeli zaś chodzi o tych, którzy kłują w oczy swymi sukcesami finansowymi, to trzeba przecież zawsze pamiętać o szczególnym charakterze kariery pisarskiej, o tym, że obejmuje ona krótkie okresy wydania książki, po których następują przerwy, że upłynąć muszą dziesiątki lat borykania się z losem, zanim pisarz zdoła sobie zdobyć pozycję u czytelnika i u wydawcy, że w okresie okupacji, w okresie sześciu lat, pisarze w odróżnieniu od inżynierów, adwokatów, czy lekarzy byli jedynymi, którzy nie mogli wykonywać swego zawodu. A ważne jest również i to, że gdy tylko zapełnią się luki na rynku księgarskim i gdy pierwszy głód książki będzie zaspokojony, nawet ta grupa szczęściarzy straci swoje zarobki, o których tak wiele się mówi, a które są jeszcze wielokrotnie niższe od zarobków pierwszego lepszego sklepikarza czy handlarza warzyw.

Upośledzenie pisarzy można stwierdzić też i gdzieindziej. Wczoraj była już mowa o tym, że Ministerstwo Komunikacji prośbę o ulgowe bilety kolejowe dla literatów załatwiło odmownie. To, z czego korzystają dziesiątki tysięcy urzędników, okazało się nieosiągalne dla nas, jak gdyby na budżecie Państwa zaważyć mogły przejazdy garstki pisarzy. Nie lepiej dzieje się w Ministerstwie Aprowizacji i Handlu. Wprawdzie minister Sztachelski z niezmienną życzliwością przyznaje literatom obfite przydziały żywnościowe i tekstylne, ale zaraz po wyjściu z jego gabinetu, cerber ministra, niejaki dyrektor Wójcik, wszystkie te przydziały anuluje, i taka zdumiewająca procedura powtarza się stale od roku. Może innym oddziałom powodzi się pod tym względem lepiej. Przytaczam tu doświadczenia oddziału łódzkiego. Z drugiej jednak strony wiemy, że zarówno aktorzy, jak i dziennikarze, jak i pracownicy rozmaitych zrzeszeń czy spółdzielnie korzystają z przydziałów częstych i obfitych.

Ta sama obojętność dla losu twórców cechuje również polskiego ustawodawcę. Projekt dekretu o funduszu twórczości literackiej, który miał przynieść znaczne sumy Związkowi Literatów i literaturze w ogólności, jako mało ważny od roku tuła się po ministerialnych biurkach. To samo dzieje się z projektem dekretu, który miał poddać pewnej kontroli umowy wydawnicze zawarte w okresie okupacji. Za rok dekret ten prawdopodobnie wogóle przestanie być aktualny. Przez samo odleżenie się, czyli metodą ulęgałki.

Żaden dekret, żadna ustawa, ani żadne nawet rozporządzenie nie wyodrębnia literatów. Jeżeli mowa o ulgach przy nabywaniu poniemieckich mebli, wśród szeregu kategorii osób, którym ulgi te przysługują, zawody twórcze są pominięte. Nadzwyczajna Komisja Mieszkaniowa, która miała usuwać elementy antypaństwowe, już trzeciego dnia swego urzędowania zgłosiła się do Domu Literatów w Łodzi, i tylko dzięki interwencjom osobistym zażegnano ścieśnienie mieszkańców w tych domach. Podatek od lokali, chociaż w zależności od podatnika może być odbniżony do 70%, nam wymierzany jest w 100%. Nawet tam, gdzie mówi się o normach wpłat na pożyczkę odbudowy, czy na odbudowę Warszawy, wymienia się wszelkie zawody, studentów, aktorów, księży itd. pomija się literatów.

Ustawodawstwo podatkowe, które faworyzuje rozmaite kategorie ludzi, zapomniało o pracownikach kultury. W praktyce, jeżeli chodzi o podatek dochodowy, zrównano pisarzy z wolnymi zawodami. Jest to rażący błąd. Adwokat, lekarz, inżynier w swej pracy zarobkowej niczego się nie wyzbywa. Natomiast rzeźbiarz, który sprzedaje rzeźbę, pisarz, który daje dzieło nakładcy, wyzbywa się swej własności, swego stanu posiadania, części swego majątku, tak jakby się wyzbył zegarka czy pierścionka. Musimy walczyć o przeprowadzenie tej tezy, że pisarz nie ma dochodu, i że za dochód conajwyżej mogą być uważane zarobki pochodzące z przedruków, ale nie z dziewiczej publikacji utworu...

...Spółdzielnie wydawnicze skomercjalizowały się, a nadto prowadzą rozmaite inne kosztowne imprezy. O ile przed rokiem jeszcze mowa była o tym, że honoraria płacone przez spółdzielnie będą wyższe od honorariów płaconych przez prywatnych wydawców, o tyle dziś obniżanie przez nie procentu autorskiego odbywa się w zastraszającym tempie. Z 15% spadło na 12%, a ostatnio czynione są próby, aby je obniżyć o dalsze 2%. Ale to jeszcze nie wszystko. Jedna ze spółdzielni wydawniczych od pewnego czasu stosuje wzór umowy, gdzie zapowiedziana jest wypłata honorarium w trzy miesiące po rozsprzedaży książki. A więc przez trzy miesiące pieniądze autora wspierać mają obrót spółdzielni. Tego nie bywało nawet przed wojną. A przecież moglibyśmy liczyć, że spółdzielnie będą krzewiły jak najlepsze obyczaje na rynku wydawniczym...

KRONIKA KULTURALNA

W dniach 26 i 27 października odbył się w Łodzi zjazd literatów, przeplatany bankietami i przedstawieniami teatralnymi, jak to zwykle podczas zjazdów bywa. Program dwóch dni zjazdu był taki: zrana obrady, potem uroczysty obiad, po obiedzie obrady, potem teatr, potem uroczysta kolacja. Obydwa dni były więc, można powiedzieć, bardzo intensywne, bardzo naładowane, łączące jednak „utile cum dulci" czyli pożyteczne z przyjemnością. Na obradach wysunęły się dwa naczelne zagadnienia: poprawa sytuacji materialnej literata polskiego i jego jeśli się tak można wyrazić upolitycznienie.

Drugie zagadnienie sformułował krótko a węzłowato redaktor „Kuźnicy" p. Stefan Żółkiewski w słowach następujących: „Polityczna jest struktura społeczeństw, polityczna przeto jest funkcja literatury". To sformułowanie nie wszystkim wydało się równie proste jak jego autorowi. Więc na tym tle powstawały spory a rozprawy, niby na owym sejmiku szlacheckim, który opisał Mickiewicz w „Panu Tadeuszu". Zdaje się, że rolę Buchmana, jednającego zwaśnionych przeciwników, odegrał potrochu Ważyk. Gdy wszedł na trybunę, przypomniał się żywo Buchman, mówiący: „Co do władzy więc — kiedy oczyma przebiegam dzieje całej ludzkości, i cóż w nich spostrzegam? Widzimy wszędzie, ze rząd umową się tworzy, nie pochodząc, jak mylnie sądzą, z woli bożej. Owóż, rząd na kontrakcie oparłszy społecznym, podział władzy już tylko jest skutkiem koniecznym". O ten podział władzy przede wszystkim chodziło. Kto ma rządzić ogólnopolskim związkiem literatów? Oddział warszawski, którego prezesem jest Jan Nepomucen Miller, czy oddział łódzki, gdzie tzw. skrzypce diable trzyma Żółkiewski [1]). Skończyło się kompromisem: do zarządu ogólnopolskiego wszedł i Miller i Żółkiewski.

Pierwsze zagadnienie, tj. poprawa sytuacji materialnej literatów, nie wywoływało kontrowersyj. Wszyscy zgodzili się na to, że literaci muszą być dobrze uposażeni, aby mogli wydajnie pracować. Zagadnienie to ujął — także dość węzłowato — wiceminister Kultury i Sztuki Leon Kruczkowski, który oświadczył: „Literaci winni się ustosunkować pozytywnie i aktywnie do tych przemian, jakie zachodzą w naszej rzeczywistości. Od literatów zależy w dużym stopniu przyśpieszenie pewnych procesów, a od tego zależy rozwój podstaw finansowych pisarza". Trzeba stwierdzić, że w swych żądaniach finansowych zjazd łódzki był nieskończenie bardziej umiarkowany, niż zjazdy literatów przedwojenne. Na zjeździe naprzykład krakowskim w r. 1932, jeden z literatów wypowiedział dosłownie takie życzenia: „Pragnąłbym mieć majątek w Polsce, willę nad Adriatykiem, sto tysięcy rocznego dochodu, lampiony, gitary i cygara hawajskie, służbę złożoną wyłącznie z podupadłych kolegów literatów, oraz mały haremik: trzy blondynki, trzy brunetki, jedna może być ruda. Do tego potrzebny mi jest wszelki brak krytyki literackiej tudzież śmierć paru wrogów osobistych". Były to jednak czasy „moralności mieszczańskiej", jakby powiedział Stefan Żółkiewski, ponadto ludzie miewali poczucie humoru. Dziś literaci żądają tylko 15 zł od wiersza oraz — niektórzy z nich — wyjazdów za granicę.

St. Łatka.

[1]) Dla literatów, niewtajemniczonych w arkana języka polskiego, podajemy, że w gwarze ludowej (Król i Piętak jako literaci polscy powinni o tym wiedzieć) „skrzypcami diablimi" nazywają się te skrzypce w kapeli, które utrzymują takt, nie prowadząc melodii.

BALLADA
O KUCHARZU I LITERACIE

Przed kolacją, w irytacji,
Kląłem brzydko, nie bez racji,
Podczas kiedy żona z płaczem
Biadoliła nad sandaczem,
Który w kuchni, na patelni
Śmiał się z żony najbezczelniej.
Kiedy wreszcie sandacz ucichł,
Wpadłszy żonie w prawy bucik,
W drzwiach wejściowych stanął łysy
Człowiek z twarzą na kształt misy.
Kapeluszem powiał dwornie
I rzekł: „Kłaniam się pokornie.
Rozpacz pani mnie przytłacza.
Znam ja sposób na sandacza.
W chwilek kilka go usmażę.
Zadrży sandacz przed kucharzem!“
Wnet sandacza wziął za głowę.
Zdjął małżonce bucik nowy.
Tym bucikiem w łeb go trzasnął.
Wziął na palec kawał masła...



Sandacz — jakby o tym marzył —
Zaraz w maśle się usmażył.
Kucharz oczy spuścił skromnie
I te słowa wyrzekł do mnie:
— „Często dumam całe noce,
Jak przyrządzić mam owoce,
Lub roztrząsam ważną sprawę:
Co z kawiorem łączy kawę?
Z jednej gęsi, w jaki sposób,
Obiad zrobić na sto osób?
Pan jest przecież literatem,
Dziennikarzem, a poza tym
Może mi się pan przysłużyć
Gdyż nie jestem mocny w piórze.
Czy też nie mógłby pan, zręcznie,
W mig napisać mi podręcznik,
Który wyda cech kucharzy
W trzech milionach egzemplarzy?“



Wczesnym rankiem przed dziesiątą,
Kucharz wpłacił mi à conto,
Po czym, z innym wraz grubasem
Wniósł pancerną, ciężką kasę.
Wreszcie wyszedł. Żona wyszła.
Na mnie nagle chętka przyszła,
Aby w knajpce, gdzieś, malutkiej
Wypić dwa kieliszki wódki...
Gdyż kolega mój z rodziną
Ochrzcił syna przed godziną.
Gdy wróciłem, noc już była.
— Żona, jeszcze nie wróciła —
Chociaż w głowie szumi wóda,
Ale wódka czyni cuda
I — jak się pan Freud wyraża —
Jest podnietą dla pisarza.
Szybko więc otwarłem kasę,
Którą wniosły mi grubasy
I rzuciłem na blat z dykty
Zgromadzone manuskrypty.

Pióra z rąk nie wypuszczałem,
Wciąż pisałem i pisałem.
I wstrząsany strasznym katzem
Zakończyłem rankiem pracę,
Ledwie w oknie dzionek świtał,
Kucharz wpadł i wstęp przeczytał.
Recept kilka potem przejrzał,
Dziko wokół się rozejrzał,
Padł, jak nożem w pierś ukłuty
I... wyciągnął biedak buty.
(Lekarz mówił mi po sekcji,
Że zmarł wskutek apopleksji).
Przeczytała książkę żona
I upadła w me ramiona.
(Lekarz mówił mi po sekcji,
Że to wskutek apopleksji).
Ale dotąd nie rozumiem,
Wytłumaczyć wam nie umiem,
Czemu kucharz i kobita
Wyciągnęli tak kopyta?
Chcę więc podać, dla porządku,
Z tych przepisów po wyjątku.
Może jakiś mądry człowiek
Z nich wyjaśni mi cokolwiek?

AMERYKAŃSKA GROCHÓWKA

Bierze się groszek w proszku
I sypie w wodę po troszku.
Bierze się mleko w proszku
I sypie w wodę po troszku.
Bierze się jajka w proszku
I sypie w wodę po troszku.
Z tych proszków, wreszcie, po troszku
Robi się zupę z groszku.

ZUPA NIC

Nic.

ZUPA GRZYBOWA

Gotuje się wodę zawczasu
Po czym się idzie do lasu.
W lesie jest grzybów kupa,
Z nich właśnie, powstać ma zupa

ZUPA JASKÓŁCZA (Z T.ZW. GUANA)

W Chinach, proszę pana,
Je się zupę z guana,
Przyrządza się ją jak powyżej
Pochodzi ona, hm, jak... poniżej.

ZRAZY

Nie miejcie urazy, lecz zrazy
To mięso zjedzone dwa razy.

SZYNKA

Nie tylko świnki mają tłuste szynki.

POLĘDWICA

Często spotkasz na ulicy
Piękny kawał polędwicy.

SZTUKA MIĘSA

Sztuka mięsa, jest to sztuka,
Która sobie formy szuka.
Często nad tym głowę łamię,
Co różni od niej „sztukamięs?“

BRUKSELKA

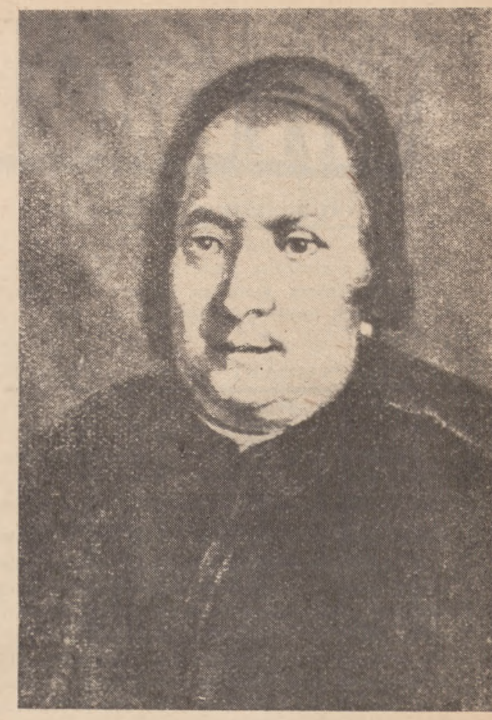
Brukselka to cybuch od fajki
Obrośnięty przez kurzajki.
Brukselka
Jest niewielka.
Podobno król Karol Wielki
Spinał szelki na brukselki.

RZEPA

Rzepy
Dają nam przykład krzepy,
Każda rzepa
Jest zdrowa jak rzepa.
Dążą one w sposób wnikliwy
Do prywatnej inicjatywy,
Toteż każda rzepka sobie
Rzepkę skrobie.

MACIEJ SŁOMCZYŃSKI





Zagadka dziesiąta

WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

Zgodnie z zapowiedzią w Nr 8 „Tygodnia“ — zamieszczać będziemy co tydzień jedną zagadkę fotograficzną. Rozwiązanie polegać będzie na odgadnięciu treści ilustracji oraz wypełnieniu odpowiedniego kuponu. Kupony wszystkie razem przesłać należy najpóźniej do dnia 17 grudnia 1946 r. do redakcji „Tygodnia“. Za prawidłowe rozwiązanie każdej z zagadek rozwiązujący otrzymuje pewną ilość punktów. Zwycięży w konkursie posiadacz największej ilości punktów. W wypadku jednakowej ilości punktów o podziale zadecyduje losowanie. Oto wykaz nagród:

1 nagroda — 3000 zł.
2 nagrody po 1000 zł.
5 nagród po 500 zł.
10 nagród po 250 zł.
32 nagrody — prenumerata kwartalna „Tygodnia“.

Wyniki konkursu podamy w numerze 25 z datą 28.12. 1946 r. Polecamy zatem uwadze czytelników dziesiątą z zagadek, umieszczoną w dzisiejszym numerze.

(za rozwiązanie 4 punkty).

ZAGADKA Nr. 10

Duchowny, żarliwy patriota. Człowiek, który był przeciwstawieniem smutnych czasów, w których żyć mu wypadało. W czasach, w których przeciętny jego współrodak zasklepiał się z reguły w czterech ścianach swego domostwa — zwiedził on znaczną część Europy, by przyczynić się następnie w swym kraju do przewietrzenia dusznej sytuacji politycznej i kulturalnej. Znaczenie jego w historii polega na tym, że przygotował i wyszkolił ekipę ludzi postępu, którzy dokonali doniosłego przełomu w dziejach swego kraju. Jak nazywał się ten człowiek?

PENICILLINA RATUJE TYGRYSICĘ

W ciągu kilku ostatnich tygodni weterynarze londyńscy czynili wszelkie wysiłki, aby uratować życie mieszkance londyńskiego Zoo, pięcioletniej tygrysicy londyńskiej imieniem Byha.

Cierpiąc na ropne zapalenie płuc leżała ona w swej klatce, ciężko dysząc pod wpływem wysokiej temperatury i nie wykazując żadnego zainteresowania otaczającymi ją sprawami.

Doktór T. A. Cockburn zdecydował się zastosować penicillinę, zastrzykując ją co parę godzin w ogon tygrysicy. Obecnie zwierzę jest już zupełnie zdrowe i w niedługim czasie powróci do swego małżonka Sahiba, do Hampshire, gdzie oboje występują w cyrku.

J. J.

KUPON 10

Zagadka Nr 10 — 4 punkty

....
nazwisko i imię

....
....
adres

....
rozwiązanie

Wypełnić czytelnie, wyciąć i odesłać.

SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

Prosimy czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy" z zaznaczeniem skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności. Za najlepszą rzecz tygodnia

PRZEZNACZAMY 150 ZŁ NAGRODY

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł otrzymał p. Przystański z Poznania, al. Przybyszewskiego 43-a m. 17 za nadesłanie poniższego wycinka z „Życia Warszawy — Wieczór" (Nr. 26).

PAPA PIĘCIORACZKÓW NIE PRÓŻNOWAŁ.

Wszyscy zapewne pamiętają pięcioraczki kanadyjskie i zainteresowanie, jakie wywołały one na całym świecie. Jednak zawierucha wojenna odwróciła uwagę ludzi na inne, ważniejsze zagadnienia. Wojujące narody produkowały nowe typy czołgów i samolotów, ale i małżeństwo Dionne nie próżnowało. W dalekiej i spokojnej Kanadzie zajęli się oni nie tyle produkcją, ile intensywnym popieraniem naturalnego przyrostu ludności, a gdy przed niedawnym czasem pani Dionne powiła chłopca ,był to jej kolejny trzynasty potomek.

Podobno, zabierając się do każdorazowej produkcji czy też popierania przyrostu, małżonkowie Dionne powtarzali słowa polskiego poety: Niech na całym świecie wojna, byle nasza wieś zaciszna, byle nasza wieś spokojna.

ZĄB, ZUPA, DĄB.

Znany biolog polski prof. J. Dębowski opracowuje w Moskwie szereg nowych zagadnień naukowych. W najbliższym czasie ukaże się w kraju „Psychologia małp" prof. Dąbrowskiego, stanowiąca zakończenie wydanej niedawno w kraju „Psychologii zwierząt", której ostatni rozdział opracowany został przez prof. Dębowskiego w ZSRR. „Psychologia małp" jest owocem badań, prowadzonych przez prof. Dąbrowskiego w Instytucie Psychologii Uniw. Moskiewskiego. Obecnie prof. Dembowski opracowuje w Instytucie Biologii ZSRR zagadnienie pobudliwości wymoczków.

(„Trybuna Dolnośląska" Nr. 211/232).

CIEKAWOSTKI.

W Łodzi zawarto układ między Związkiem właścicieli Związku Zawodowego pracowników gastronomicznych. W układzie załatwiono sprawę wynagrodzenia oraz ochrony pracy.

(„Kurier Codzienny" Nr 218).

Gdy spotkano osobnika, niosącego pod pachą okrwawioną głowę, spróbowano go zatrzymać. Osobnik próbował uciekać, a gdy pościg się przybliżył, zaczął ciskać w ścigających głową zamordowanego.

(„Kurier Codzienny" Nr. 221).

W końcowych dniach powstania, po wywiezieniu przez Niemców kosztownego umeblowania i dzieł sztuki, pałacyk został wysadzony w powietrze. Ogień jednak nie strawił budynku i dziś mimo zniszczeń zachował nawet części drewniane, jak futryny, części posadzek i t. p.

„Express Wieczorny" Nr. 150).

W Anglii wznowienie emisji telewizyjnej wzbudziło zaniepokojenie w sferach teatralnych. Dyrektorzy teatrów zamierzają zabronić artystom teatralnym występowania w programach teatralnych.

(„Radio i Świat" Nr. 41/64).

WARUNKI KONKURSU

W numerze 17 ogłosiliśmy II konkurs na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach.

Dziś podajemy drugie zadanie.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:

1 nagrodę — 2000 zł.
2 nagrody po 1000 zł.
4 nagrody po 500 zł.
10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 20 stycznia 1947 roku do redakcji „Tygodnia", Łódź, ulica Pomorska 37/1.



Anegdoty historyczne

TOŁSTOJ POSŁAŃCEM.

Pewnego razu Lew Tołstoj, ubrany jak zwykle w swoją długą koszulę chłopską, stał na peronie dworca w Tule, oczekując na pociąg. Nadszedł kurier, z którego wyskoczył jakiś pan i pobiegł szybko do bufetu. W sekundę potem z okna wagonu wychyliła się młoda dama, wołając:

— Misza! Misza!

Lecz Misza, zdawało się, zniknął.

— Hej, dziadku! — krzyknęła dama, widząc stojącego Tołstoja — macie tu pięć kopiejek. Zawołajcie coprędzej tego pana.

Tołstoj spełnił polecenie. Gdy powrócił z panem, publiczność poznawszy go, poczęła szeptać:

— Patrzcie, Tołstoj, Tołstoj...

— Gdzie, gdzie? — zapytała ciekawa dama.

Wskazano jej wielkiego pisarza. Przerażona wybiegła z wagonu i składając ręce zawołała.

— Hrabio! Jakże mam przeprosić! Proszę mi wybaczyć, na litość... Błagam o zwrot pięciu kopiejek.

— O nie! — odpowiedział Tołstoj z uśmiechem: — zarobiłem je przecież.

OD ŻARÓWEK DO SZTUCZNEGO JEDWABIU



British Photo

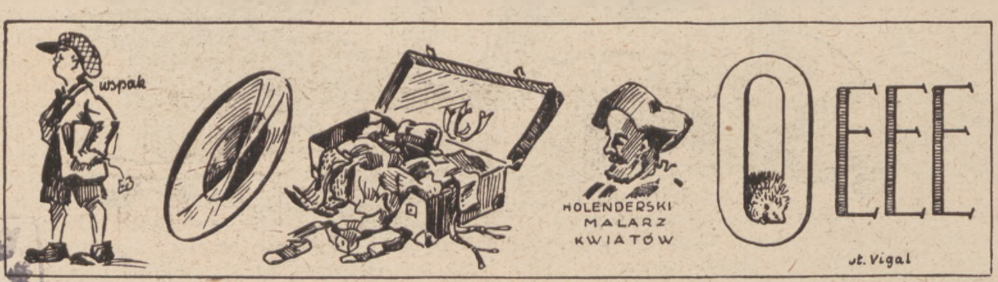
Aerodynamiczne łóżko



British Photo

DRUGI KONKURS „TYGODNIA"

NA REBUSY I KRZYŻÓWKI





Z DZIEJÓW FOTOGRAFII

Sztuka otrzymywania obrazów z natury dzięki wrażliwości na światło niektórych związków srebra powstała w roku 1825. Pionierami w tej dziedzinie byli Francuzi Niépce, Daguerre, Talbot. Pierwszy używał do fotografii klisz asfaltowych, drugi — klisz srebrnych, trzeci — papieru. Dzisiejsze klisze sporządzone są ze szkła, celuloidu, pokryte są zawiesiną bromku srebra w roztworze żelatyny.

Niniejsza fotografia, przedstawiająca „Karnawał" angielskiego malarza Waldena Hanimanda, pochodzi ze zbiorów brytyjskiego Towarzystwa Fotograficznego. Towarzystwo to posiada olbrzymi zbiór zdjęć od najprymitywniejszych aż po ostatnie krzyki, jakimi w naszych czasach stały się fotografie uzyskane przy pomocy niewidzialnych promieni „infraczerwonych".

OD ŻARÓWEK DO SZTUCZNEGO JEDWABIU

Do pewnego czasu wschód był wyłącznym dostawcą jedwabiu. Ciągnął z tego kokosowe zyski , dlatego strzegł swego monopolu jak tajemnicy atomowej. Niebawem jednak tajemnica ta stała się udziałem całego świata, a z nią i zyski. Od tej chwili każdy doskonały interes zyskuje miano „jedwabnego", a drogocenna tkanina, która zrazu służyła jako zbytkowne okrycie zwierzchnie, staje się surowcem do wyrobu bieljzny. Prawdziwą rewolucję w zakresie drogocennych tkanin „szeleszczących" spowodował wynalazek uczonego angielskiego Józefa Swana. Uczony ten pracując nad wynalezieniem włókna do żarówek, odkrył substację, która stała się podstawą do wyrobu sztucznego jedwabiu. Na zdjęciu obok uczony w swym laboratorium.

AERODYNAMICZNE ŁÓŻKO

Na wystawie w Londynie znajduje się łóżko o liniach aerodynamicznych zaopatrzone w termostat dla utrzymania stałej temperatury. Kto je kupi? Chyba jakiś hipochondryk o portfelu napęczniałym od spekulacji wojennych.

(Illustrated London News)

W PRACOWNI MALARSKIEJ



„No, miss, teraz pani nie będzie się już mnie peszyć".

(College Humor).

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje 13—14 ● Redakcja rękopisów nie zwraca.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37, m. 1, tel. 14-906 ● Prenumerata miesięczna 30.— zł ● Konto P.K.O. Łódź VII Nr 4321
Ogłoszenia: cena za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 50.— zł ● Druk: Zakłady Graficzne „Społem" Łódź, ul. Andrzeja Struga 63 ● D. 011123